

KUŹNICA

Rok III

Łódź, 21 stycznia 1947 r.

Nr 3 (72)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

KONSTANTY GRZYBOWSKI

PO PIERWSZEJ I DRUGIEJ WOJNIE

JAK TO BYŁO przed laty bez mała trzydziestu? Pięćdziesięcioletnie prawo wyborcze stawiało się dogmatem prawie wszędzie na kontynencie. Nowy ustroj Niemiec, Austrii, Czechosłowacji, Polski zaczęli budować socjaliści. Odgrywali decydującą rolę polityczną we Włoszech, rośli na znaczeniu we Francji, liczone się z nimi w Anglii. Europa zdawała się wchodzić w okres współpracy demokratycznych elementów drobnomieszczańskich z socjalistami, w okres kompromisu między częścią socjalizacją prawa własności i daleko posuniętą syndykalizacją klerownictwa procesem produkcji — z zachowaniem własności prywatnej jako zasady. A równocześnie Związek Radziecki rozdził się w walce z generałami carskimi, którzy byli tylko firmantami kapitalistycznych demokracji Zachodu. A równocześnie socjalistyczni ministrowie spraw wewnętrznych likwidowali komunistyczne organizacje swych krajów przy pomocy mniej lub więcej cesarskich feldmarszałków czy admirałów.

Rok 1918 i 1919 był pierwszą wielką próbą ogólnoeuropejskiej rewolucji socjalistycznej. A równocześnie był początkiem nowych metod walki z tą rewolucją. Jedną z nich, cicha, dyskretna, niewinna. Pamiętamy — a w każdym razie powinniśmy pamiętać — jej przykłady z lat 1919—1920. Nie ma więc stronnictwa „demokratyczno-narodowego” — jest tylko „Związek Ludowo-Narodowy”. Nie ma „stronnictwa konserwatywnego” — jest tylko „niemiecko-narodowy związek ludowy”. Znikają wszystkie stronnictwa „narodowe”, „monarchistyczne”, „konserwatywne” — są tylko „ludowe”. Czym bardziej ktoś był przed rokiem 1918 antydemokratyczny, tym bardziej jest po roku 1918 „ludowy”. A równocześnie znikają jednostki związane z dawnymi reakcyjnymi ugrupowaniami, przychodzą na ówczesnej prawicy, która twierdzi, że nie jest prawicą — ludzie nowi, z przeszłością dawniej prawicy luźnie lub całkiem niezwiązani. „Mistyfikacja lewicowości” działa w pełni: my także jesteśmy za reformą rolną, my także jesteśmy za częściowym uspołecznieniem, my także jesteśmy za tym samym, czego chce lewica — ale my to wszystko zrobilibyśmy trochę inaczej. „My także” — to było dla wyborców, „inaczej” to było dla dysponentów tego skrzydła prawicy — wszystko razem działało i dawało sukcesy wyborcze.

Wolniej, ale już w tych samych latach rosła druga metoda. „Las” niemiecki lat 1919—1923 był jej pierwszym nauczycielem, Ezberger, Rathenau pierwszymi ofiarą, „czarna Reichswehra” pierwszym organem wydającym i wykonującym wyrok. Ale rosła i gdzieś indziej. W roku 1921 zasiada już 35 faszystów w włoskiej Izbie deputowanych. W roku 1922 pierwszy prezydent Rzeczypospolitej Polskiej jest już „zawadą”, którą „usuwa” kula patrona polskiego faszystów, czczonego nabożeństwami żalobnymi po całym kraju. Druga fala rośnie później, ale głośniej. Pierwsza była staroświecko-dystyngowana. Bała się mas i bała się nadawania zewnętrznych pozorów swej jednostronności klasowej. Druga wychodzi na ulicę i stawia o nią walkę z lewicą — nieraz zwycięsko. Druga powiada „trzeba skończyć z przesądami o wszechmocy kapitału” (hitlerowski spec gospodarczy Bernhard Kohler w 1931), a doszedłszy do władzy powie „zasada zysku prywatnego w życiu gospodarczym musi być utrzymana (tenże jako szef „urzędu gospodarczo-politycznego” partii hitlerowskiej w 1933). I wtedy

się okaże, że te dwie metody — to jeden obóz. Ale to już będzie dla demokracji zapóźno.

Demokracja przegrała walkę lat 1918—1933. Przegrała ją dlatego, bo przeciwnik maszerował oddzielnie, ale bił w nią solidarnie, a ona maszerowała oddzielnie i biła się oddzielnie. Przeciwnik mówił „bronieć wolności przed dyktaturą z lewej strony” lub mówił „gdy dojdę do władzy zlikwiduję wolność”, ale sens polityczny obu tych zdań był jeden: za wszelką cenę zahamować postępy demokracji, cofnąć wstecz dzieło lat 1918—1919. Demokracja walczyła ze sobą. Drobnomieszczańscy demokraci patrzyli podejrzliwie na socjalistę, socjalista i drobnomieszczańscy demokraci patrzyli z nienawiścią na komunistę, a komuniści twierdzili, że nie ma żadnej różnicy między Hitlerem a Scheidemannem, że nie ma żadnej różnicy między parlamentarnym agentem wielkiego kapitału a radykałem mieszczańskim czy socjalistą Drugiej Międzynarodówki. Gdy zaś doszli do przekonania, że ważniejszym jest wspólny wróg, niż różnice między poszczególnymi rodzajami demokracji — było już zapóźno.

Jak wygląda Europa, jak wygląda Polska roku 1946. A więc Polska. Mamy pewną ilość obywateli państwa polskiego, przebywających za granicą, nie uznających obecnego rządu w Polsce za legalny i czyniących wszystko, by ten rząd obalić. Mamy pewną ilość obywateli państwa polskiego, przebywających w Polsce, którzy się solidaryzują z tymi obywatelami przebywającymi za granicą i czynią co mogą, aby wykonać zleczone sobie z zewnątrz zadanie w kraju. I mamy pewną ilość obywateli, których przywódcy uznali obecną rząd państwa polskiego jedynie pod naciskiem zagranicy, naciskiem obcych państw, dopiero wtedy, gdy doszli do przekonania, że polityka odmawiania uznania temu rządowi jest polityką beznadziejną. Dwie pierwsze z tych grup nie mają swego legalnego odpowiedzialnika politycznego w kraju i na tym polega różnica między nimi a trzecią grupą, mającą legalny wyraz polityczny, przede wszystkim w PSL. Ale uczuciowy stosunek wszystkich trzech tych grup do tego, co się stało w kraju od lipca 1944 i do tego co w kraju rządzi jest taki sam i na tym polega podobieństwo między tymi grupami. Myśli są identyczne, tylko taktyka jest inna. Nastąpiło rozejście się taktyczne od konferencji moskiewskiej 1945 roku, ale nie nastąpiło rozejście się ideologiczne — i to wydaje mi się najistotniejsze dla oceny obecnej sytuacji polskiej.

W tym zaś punkcie tkwi najistotniejsza różnica między przemianami jakim uległo społeczeństwo od lipca 1944, a przemianami, jakim nie uległo PSL i jego przywódcy. W lipcu 1944 ogromna większość społeczeństwa była przeciw obozowi lubelskiemu i nie ma powodu do ukrywania tego faktu. Mit Londynu działał w pełni. Wiera w konflikt anglosasko-radziecki była powszechna. Przygotowanie uczuciowe do rezygnacji ze wschodnich obszarów państwa było żadne. I w tym momencie przyszli do rządów ludzie, którzy myśleli całkiem inaczej. Musiał upłynąć pewien okres czasu, zanim społeczeństwo zrozumiało, że to byli jedyni ludzie, którzy myśleli realnie i którzy zarazem myśleli na daleki dystans. Z chwilą zaś, gdy zrozumiało, wyciągnęło z tego konsekwencję: należy przez te ugrupowania polityczne, które od początku prowadziły tę trafną politykę. Stopniowa przemiana poglądów społeczeństwa ujawniała się w stopniowym wzroście siły czterech stronnictw lubel-

skich. I oto w pewnym momencie pewna grupa polityków stanęła na stanowisku: chcemy działać legalnie i wejść do rządu, ale pozostać poza tymi stronnictwami, chcemy utworzyć grupę polityczną, która nie będzie obciążona przeszłością polityczną stronnictw lubelskich. Czyli: chcemy korzystać równocześnie z wszystkich korzyści współzależności i wszystkich korzyści opozycji, nie chcemy przejąć żadnych ujemnych konsekwencji rządzenia i żadnych ujemnych konsekwencji opozycji. Chcemy współzależnie, ale, będąc odrębnym stronnictwem z akcentami opozycyjnymi nie zamknąć sobie możliwości powrotu do obozu politycznego, z którego wyśliśmy; chcemy być w opozycji, ale mieć w swym ręku możliwość obsadzenia stanowisk starostów i wojewodów, cały aparat oświatowy (pamiętajmy — jaką siłą agitacyjną jest nauczyciel szkoły powszechnej), cały aparat administracji rolnej. Tak się zrodził PSL.

Spowodowało to pewne zaciemnienie układu sił politycznych w Polsce. Z jednej strony obóz wyraźnie demokratyczny. Z drugiej strony obóz wyraźnie dążący do obalenia obecnego ustroju w drodze rewolucyjnej. W środku zaś obóz, który nazywałbym „demokratami za wypowiedzeniem”. Obóz, który chce włączyć z demokracją wszelkie korzyści, a nie chce ponosić sobie w łonie z innymi żadnymi ciężarów, nie chce ponosić odpowiedzialności za jakże trudne warunki rządzenia w okresie powojennego zniszczenia, materialnego i moralnego. Obóz, który nie zapomniał o swych dawnych miłośnikach politycznych z roku 1923, z roku 1925, z roku 1926 i nowszych z okresu londyńskiego i który sobie nie zamyka drogi w tę stronę. Obóz „demokratów... ale”. Pamiętajmy — tacy sami demokraci torowali, przeważnie nieświadomie, ale częściowo świadomie, drogę faszystów w latach 1920—1933. Tylko przy powtarzaniu tej samej drogi trudno już mówić o nieświadomości, chyba o ślepotę.

Ten układ sił politycznych w Polsce jest przyczyną wielu zjawisk, jakie stanowią platformę agitacyjną opozycji. Mówi się „wolność”. Ale czy w okresie nieustalonego układu sił społecznych wolność może być tak samo szeroka jak w okresie stabilizacji tych stosunków. Nikt z nas tego zakresu ograniczeń wolności, jaki dziś istnieje, nie uważa za ideał, ani za stan trwały, nikt z nas nie uważa poziomu obecnego władz bezpieczeństwa za ideał, choć stwierdzić musi poprawę. Ale jeśli ktoś, trzymając w ręce rewolwer, równocześnie deklamuje o art. 97 Konstytucji marcowej, to czas byłoby go odesłać do artykułu 124 — bo przecież normalny ustroj państwa nie jest zakrojony na momenty bez mała wojny domowej i nie jest przewidziany na stosowanie wobec siewców i propagatorów wojny domowej. Jeśli, ktoś wskazuje na konkretne uchybienia w działaniach systemu bezpieczeństwa — w porządku. Ale jeśli ktoś samo ich istnienie kwestionuje ze słowem „Wolność” na ustach, to trzeba mu przypomnieć: jeśli się mówi wolność bez określenia o jaką wolność idzie, to zwykle ukrywa się pod tym żądanie wolności dla jakiejś określonej klasy społecznej (i tylko dla tej klasy), czy dla jakiejś określonej grupy politycznej (i tylko dla tej grupy). Wolność jest funkcją każdorazowej struktury społecznej i tam gdzie struktura społeczna jest jeszcze w stanie płynnym (bo jest kwestionowana) i granice wolności muszą być płynne.

Dlatego wszystkiemu co jest nie tylko wrogiem, ale co jest także niejasne, pełne

„I TYLKO DOBROBYT CAŁEGO NARODU, A NIE JEDNOSTKI WZBOGACI CAŁY KRAJ”

Pamiętniki chłopów

TREŚĆ NUMERU:

KONSTANTY GRZYBOWSKI —
PO PIERWSZEJ I DRUGIEJ
WOJNIE

KAZIMIERZ BRANDYS —
FASZYSCI

PAWEŁ HERTZ —
SNOBIZM I PODSTĘP

EDWARD CSATÓ —
APOLITYCZNI

STANISŁAW EHRLICH —
GŁOS ZILLIACUSA

ANDRZEJ STAWAR —
TADEUSZ ŻELEŃSKI - BOY (V)

JERZY PUTRAMENT —
STRAJK W LACHOWICZACH

STEFAN ŻÓLKIEWSKI —
ZE WSPOMNIENI POLSKIEGO
INTELEKTUALISTY

JULIUSZ ŻULAWSKI —
CZY ISTNIEJĄ „WADY
NARODOWE”

ADAM WAŻYK —
O NOWELACH IWASZKIEWICZA

RYSZARD MATUSZEWSKI —
WZÓR DOBREJ PROZY

KANDYD —
TAK TOCZY SIĘ ŚWIATEK

PRZEGLĄD PRASY

NOTY

zastrzeżeń, chwytne, musiał się przeciwstawić Blok wyborczy. Demokracja dłużej wyciągnęła dziś tę naukę z kłopotliwego okresu międzywojennego, że nie idzie oddzielnie.

Przeciwstawia się temu frazes, iż pozostawia to w istocie wyborcy swobody wyboru, że ktoś może chcieć głosować na kandydatów PPS, a nie chcieć na PPR i odwrotnie. Ale zapomina się przy tym o dwóch faktach: pierwszy to fakt, iż każdy zmarnowany z powodu rozbiła głos jest sukcesem opozycji. I o drugim fakcie, że przecież te stronnictwa po wyborach rządzących będą wspólnie. Przedwojenna metoda wyborcza polegała na tym, że każde stronnictwo szło do wyborów oddzielnie i zwalczając się wzajemnie — po to, by po wyborach, wbrew wszystkiemu co się mówiło w kampanii wyborczej, połączyć się z najbardziej przez siebie atakowanym przeciwnikiem dla wspólnego rządzenia. Przywódcy PSL dobrze to pamiętają choćby z wyborów roku 1922 i ich konsekwencji. Czyż nie jest i uczciwiej i demokratyczniej powiedzieć już wyborcom: chcemy w przyszłości wspólnie rządzić. A to jest właśnie blok wyborczy.

Każdy konflikt polityczny ma swe podłoże społeczne. Każda walka polityczna jest w istocie walką różnych interesów i grup społecznych. Te interesy społeczne i te grupy społeczne, które nie mogą liczyć na zwycięstwo, gdyby występowały jasno i wyraźnie — stosują zawsze metodę mistyfikacji. W miejsce rzeczywistego, konkretnego podłoża, stawiają przed oczyma społeczeństwa hasła pozornie ogólnoludzkie, abstrakcyjne, ważne i obowiązujące w każdej epoce i w każdym społeczeństwie. Bronią „odwiecznych” ideałów. Ale istotny sens ich hasła nadaje dopiero odpowiedź na pytanie: na czyją szkodę te odwieczne ideały „naruszono”.

Naruszenie — to zmiana dotychczasowego stosunku sił. Czyje siły w Polsce osłabły. Siły wielkiego kapitału. Żadna inna zmiana w układzie sił nie zasła. Chłop spokojnie pracuje na swoim zagoniu — o ile „leśni ludzie” pracować mu pozwalają. Rzemieślnik spokojnie pracuje w swoim warsztacie, kupiec w swym sklepie. Różnica polega na tym, że chłop pracuje tylko na swoim zagoniu, robotnik pracuje w swojej, uspołecznionej fabryce. To jest jedyna istotna zmiana w Polsce — odwracanie od niej uwagi, wyszukiwanie innych przyczyn konfliktu politycznego — to tylko oślanianie rzeczywistości pozorami. Wybory mają okazać, czy zasłony dymne obozu wrogiemu przemianom działają również skutecznie, jak działały w okresie międzywojennym.

Konstanty Grzybowski

KAZIMIERZ BRANDYS

F A S Z Y Ś C I

GDY UŻYWAMY dziś słowa „faszyzm” — często zarzuca się nam przesadę i pochłopenność. Nasi przeciwnicy chętniej widzieli by w faszyzmie zjawisko włosko-niemieckie, związane z osobistym szaleństwem kilku ludzi w Rzymie i Berlinie, a od polskiej rzeczywistości równie odległe jak kaprysy Nerona i Kaliguli.

Inteligent polski nie zawsze potrafił ocenić prawdziwe znaczenie zjawisk swojskich i rodzimych. Często dawał wiarę temu, co nazywano „dobrym instynktem polskim”, „piękną tradycją polską” — i ludził się, że mistyczne imponderabilia uchronią jego społeczeństwo, a zwłaszcza jego warstwę, od wstrząsów, których przejawy zewnętrzne wydawały mu się niemiłe. Dlatego, kiedy faszyzm wdzierał się do wnętrza, był blisko, nieraz w rodzinie, wtedy starano się — już z głową w piasku — tłumaczyć go żakowskim temperamentem, dziecianną „narodową chłopców”, zawadziactwem, „młodą piwem” mocarstwowości. Ostrzeżenia lewicy zbywano również dobrodusznymi. Inteligencki radykał w Warszawie reagował jeszcze na słowo „endek” — ale słowo „faszysta” wydawało mu się nerwowym urojeniem, pojęciem w Polsce bezpodstawnym. Gdzie miał być w Polsce faszyzm i kto go reprezentował? Piłsudski? Dmowski? Studenci? Mieszkańscy inteligenci lubili w historii widzieć starcia indywidualności, przeciwieństwa charakterów, odszukiwać malownicze analogie. Piłsudski i Dmowski — to były w jego mniemaniu właśnie dwa charaktery, dwie osobiste koncepcje dwóch ludzi o odmiennych temperamentosach, mniej więcej jak Wisniewiecki i Ossoliński z „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza, podczas gdy studenci, jak Kmiciec, po awanturach czuli ciąg na Częstochowę i nawracali się tam co rok. Nie było więc faszyzmu. Stało się tak, że część inteligencji nie dostrzegała zjawiska, już będąc jego narzędziem.

Ten stan rzeczy nie wytorzył się przypadkiem. Pracowano na niego usilnie. Antyludowa funkcja faszyzmu nie ograniczała się do walki z ruchem robotniczo-chłopskim. Musi zapewnić sobie w tej walce milczenie inteligencji, uzyskać bezpieczeństwo od jej protestu, rozbroić ją ideologicznie. I sanacja i endecja rozumiały konieczność tego warunku. Każda na swoją rękę. Każda z tych samych powodów. Polska dwudziestolecia była dziwnym krajem, w którym wsteczność wytworzyła dwie przeciwstawne reprezentacje polityczne. Z waśni dwóch stronnictw antyrobotniczych starano się uczynić dział ideologiczny i narzucić przekonanie społeczeństwu, że stary spór między Piłsudskim a Dmowskim jest polską walką klas, której nie przewidział Marks.

Wiara, że chwytano się za czuby w kłótniach o władzę między sanacją a endecją jest istotnym dramatem Polski tego czasu, zacięła na niej jednym z nas. W artykule „Przyjaciele z Kuźni Młodych” starałem się przedstawić technikę piłsudczyzny w oddziaływaniu na młodych postępców inteligencji w szkołach średnich i wyższych. Aby zrozumieć, czym była ta technika w swej politycznej istocie, trzeba zdać sobie sprawę, że różnice jakie ją dzieliły od techniki faszyzmów obcych, były pozorne, podobieństwa, przeciwnie były zasadnicze. Słabością inteligenta jest często uleganie pozorom a nie dostrzeganie istoty. Istotą piłsudczyzny było sfalszowanie treści społecznej narodu za pomocą legendy wodza i narzucenia fikcyjnego problemu. Istotą było rozbijanie zawodowego i politycznego ruchu klas pracujących. Istotą — oparcie się o kapitał przemysłowy i wielką własność ziemską. Ale młody radykał z ZPMO nie dostrzegał istoty piłsudczyzny. Pamiętał Grzybów, Marmarosz-Sziget i słowa: „Znieść trumnę do krypty, by królom był równy”. Siłą Piłsudskiego było działanie na wyobraźnię radykalnych inteligentów i oficerów sztabowych. Mało kto potrafił działać równocześnie w tak różnych dziedzinach. Faszyzm sanacyjny nie powstał z drobno-mieszczanstwa i to sprawiło, że długo wywierał wpływ malowniczymi pozorami: stwarzał atrakcyjne typy ludzkie, lekarza — poetę stawał na czele dywizji kawalerii, artyście-malarzowi dawał dowództwo polcji, dawnych rewolucjonistów sadził w notarialnych kanceliach, kokietał prady literackie, i sprawił, że w pięć lat po Brześciu jeden z najwybitniejszych autorów pisał w swej sztuce o Polsce, jako o „sanatorium dla ludzi zmęczonych faszyzmem”. Można to zrozumieć, zważywszy inteligentną atmosferę podtrzymywaną przez oboz, który nie powstał z drobno-mieszczanstwa i mało oddziaływał na drobno-mieszczanstwo; zważywszy inteligentną genealogię tego obozu, jego radykalną przeszłość i osobowość jego twórcy: szlacheckiego inteligenta, dowódcę bojówek i armii, pisarza, mówcy i znawcy literatury. Można to zrozumieć w świetle ekonomii przemocy, którą stosowała sanacja, a która polegała na tym, że nie wszyscy działacze lewicy siedzieli w więzieniu. Wracano tam tylko rzeczywiście niebezpiecznych. Można to wreszcie zrozumieć z jeszcze jednego względu: inteligencja i mieszczaństwo żydowskie szukały obrony przed antysemityzmem endecji w „postępcowej tolerancji” sanacyjnej wobec mniejszości. Jest charakterystyczne — duża część inteligencji polskiej i żydowskiej popadła w wspólny błąd, dając kredyt ideologicznej dwóm stronnictw antydemokratycznych i wiążąc z nią nadzieje polityki dla demokracji. Cel sanacji został spełniony: odłam inteligencji pracującej pozwolił się odgrodzić od politycznego ruchu warstw pracowniczych. Został

tędy spełniony jeden z zasadniczych celów faszyzmu.

Dbało o to, aby proces ten nie uległ zmianie. Mimo wszelkich pozorów, sanacja znała techniczny dekalog faszyzmu i posiadała w pełni system alarmowy, który wskazywał czego, kiedy i jak należy się strzec. System ten wyprowadził nie dla wszystkich był widzialny. Działal po więzieniach, śledztwach, w oddziałach sztabu i gabinetach szarych emincencji. Lecz umiał ostrzegać nieomylnie przed prawdziwym niebezpieczeństwem — nie endecją, nie dmowszczyzną czy OMRN-u, ale strajków, masówek, demonstracji robotniczej. System ten sprawiał, że granatowej policji nie zabrakło w czasie manifestacji krakowskiego Semperitu czy „Lwowskiego kwietnia”, a nie było jej gdy wybijano żydowskie szyby, że strzelała w Krakowie i Lwowie, a stała z bronią w nogi w Prztykach. System ten działał również na najdłuższej fali, skład klasowy inteligencji polskiej strzeżono przed dopływem ze strony warstw pracujących, starano się z niej uczynić inteligentki rezerwat słabości, uległy wobec presji i eksperymentu.

Uczelnie wydawały co roku trzy typy absolwentów: zelantów systemu, jasnogórskich Kmiciców z pałkami i wreszcie garstkę postępców szukających drogi, nieco osłupiałych po profesorskiej nauce i figlach kolegów. Ci albo osiadali w końcu na jakiejś mielinie apolityczności, indyferencji, klerkowskiej wierności czy katastrofizm — albo musieli docierać do związków z ruchem marksistowskiej lewicy, jawnym lub nielegalnym — rozbijanym, tępionym, szcztym. Tych nie było wielu.

Faszyzm nie wyrasta z sił swoich twórców, lecz ze słabości swoich przeciwników. Zapewne, postępcowa inteligencja dwudziestolecia była przeciwna faszyzmowi. A jednak rozwijała się na jej słabości, ośmielała go jej lenistwo umysłowe, brak decyzji moralnej, łatwość wiaroty i sceptycyzm. Przykład inteligencji niemieckiej nie działał. Przykład hiszpański nie działał. Przykład Austrii i Czech nie działał. Co działało? Zbiłąkany postępcowiec wierzył w sojusz polsko-niemiecki, w endeko-sanacyjną „wojnę dwóch róż”, w to, że gdyby żył Piłsudski, wszystko było by inaczej, i w to, że nacelnym hasłem społecznym w ZSRR jest hasło: „dalej gramotynej!” Żarty? Ale nie zawsze dalekie od prawdy.

Były to smutne lata. Przed wrogiem nie tylko nie starano się bronić, ale nie umiano go dostrzec. Lata, kiedy po seminariach, atulach, kawiarzach, pokojach profesorskich mnożyły się bezwiednie narzędzia faszyzmu, uważające się za antyfaszystów, wielbiciele Ossietzky'ego gotujący sobie jego los, uczniowie Matteotti, wymawiający z dobrą wiarą słowo „wywrotowiec”, zwolennicy reformy, wiążący swe nadzieje z działalnością kancelarii cywilnej prezydenta.

Nadszedł wrzesień. Warszawscy klerkowie zobaczyli zielone hełmy na placu saskim, koło IPS-u, na Mazowieckiej, Kredytowej, i wypadli, które zaczęły się toczyć uznali za wojnę ideologiczną między anglo-saskim liberalizmem a niemieckim barbarzyństwem. Tak wkroczyli w okres okupacji postępcowi piłsudczy, którzy nie rozumieli swego czasu ze słabości i sceptycyzmu. Ale prócz nich byli inni. Gorszy, bardziej świadomi swych celów. Nie byli słabi jak tancerze. Lecz za to głupszy i podli.

II.

Kiedy pierwszy Prezydent, jeszcze przed strzałami w Zachęcie, w drodze na Zamek przejeżdżał w powozie przez Plac Trzech Krzyży, bojówki endeckie obrzuciły go kamieniami i biotem. Wówczas z okien upadły na bruk ciężkie drewniane ławki. Były to szkolne pulpity rzucone przez uczniów gimnazjum Kulwiecia. Kto kończył szkół w Warszawie, przypomni sobie szczególną opinię jaką cieszyła się owa uczelnia. Szkołę tę kończyli ci, którzy nie mogli skończyć żadnej innej. W owych latach zgromadził się tam dziwny zbiór młodych wąsali, zapóźnionych w naukach przez zamęt wojny, dziedziców fortun zza kordonu, odciętych przez Traktat Ryski, albo innych, ociałych — lecz zagrożonych przez rosnący ruch lewicy; niedoszłych feudałów z już zakorzenionym urazem socjalnym i narodowym. Podobnych młodych ludzi pełne były wówczas gimnazja stolicy. Z ostatnich klas wchodził do uniwersytetów gotowi „ideowcy” z gotowym „światopoglądem”: z nienawiścią do wszystkiego, co trąciło przemianą socjalną, z głębokim kompleksem rewolucji rosyjskiej, z lekkiem przed duchowym wywłaszczeniem z tradycji szlacheckich, z chęcią odwetu za wywłaszczenie materialne. Na kim miał skupić się odwet? Odpowiedź nie trudna. Ruch robotniczy wyszedł był wówczas z podziemi i upominał się o wpływ na losy państwa, podnosząc hasła reformy społecznej. Ruch ten wychodził z podziemi otoczony krwawym nimbem walki niepodległościowej, w którym związały się nierozdzielnie dwa pojęcia wolności: wolności państwa i wolności ludu. Przeciwnik był więc z góry określony: ten który godził we własność i w honor — we własność materialną i w honor przodownictwa w walce o wyzwolenie. Tylko dlatego z gimnazjalnych okien posypały się ławki, kałamarnice, piorniki. Na człowiek, który nazajutrz miał paść od strzałów z rewolweru, był typem inteligenta obozu polskiej reformy, postacją działacza lewicy ludowej zawsze obecna w prawdziwej historii narodu i zawsze z niej wymazywana przez fałsz. Należało wymazać ją i teraz. Gabriel Narutowicz miał przestać istnieć w życiu politycznym Polski, jak Sciegienny, Dembowski i Waryński mieli

przestać istnieć na kartach podręczników Jej historii. Młodzieńcy, mieli przeciw swoich wychowawców.

Wychowawcami byli Narodowa Demokracja, jej wódz, Roman Dmowski, grono polityków i profesorów starego pokolenia Ligi Narodowej, nazwanego przez kogoś pokoleniem Petroniuszów. Petroniusze byli mądry, cyniczni i znali świat. Starą endecją od ONR-u różniła tylko znajomość języków obcych i mniej szczerzy stosunek do własnej filozofii. Petroniusze uczyli się historii. Z klęski rosyjskich „Kadetów” wyciągnęli dla siebie przestrogi, że w pewnym wieku nie łatwo walczyć z rewolucją. Szukali więc spadkobierców — młodych, krwistych Winicjuszów, zdolnych do noszenia broni i strzelania z niej w potrzebie. Znaleźli się łatwo: Winicjusze, Kmicice i Bohuny z gimnazjów i uniwersytetów, z sodalicji i sklepików. Petroniusze byli zbyt obłudni, aby otwarcie nawoływać do mordów, ale na tyle bystrzy, aby zrozumieć, że nie trzeba wiele, by młody narybek do nich zachęcić. Twórcy obłąkanych imponderabilów — pojmwali zbyt dobrze, że mord wynika czasem sam z zestawienia kilku rzuconych słów, jak maca i krew, jak Judasz i Chrystus Narodów, jak Marks i Królowa Jadwiga, jak folksfront i Wielka Polska. Wystarczy tylko przygotować grunt i w oczy nasypać piasek.

Grunt przygotowany był już dawno, a piaskiem sypnięto według najlepszej recepty. Endecja zawsze szermowała hasłem antysemityzmu. Ale wśród innych hasel i z zachowaniem dobrej kiersztuby. Po wojnie czasy zmieniły się o tyle, że ludzie bez ziemiańskiej kiersztuby zaczęli być groźni nie na żarty i hasłom społecznym endecji przeciwstawili swoje hasła równouprawnienia i postępu. Każde wsteczństwo w pewnym momencie czuje za sobą ścianę i musi przelożyć broń z ręki do ręki. Z chwilą gdy napór postępu zaczyna być zbyt gnioty, gdy za jego żądaniem wyrasta poprostu logiczna oczywistość — trudno się bronić negacją. Stare hasła status quo przekłada się wówczas do wolnej ręki i chowa za plecami, w drugiej wystawia się przed siebie inne — mylące, fałszywe, mniej otwarte. Jest to prawo taktyki. Prawo towarzyszące przechodzeniu na nowe pozycje: na pozycje faszyzmu. Faszyzm nie atakuje ruchu ludowego otwarcie — hasłem antyrobotniczym. Do walki z nim rzuca swe szeregi przez stworzenie fikcyjnego problemu i fałszywego hasła.

I to było gotowe. Narzucało się samo. Mieszczanstwo żydowskie zubożało się podczas wojny. Winicjusze rwali się ze smyczy na widok sztydłów żydowskich na Marszałkowskiej; Chrystusa ukrzyżowali Żydzi, Polska jest Chrystusem Narodów — endecja Petroniusze dobrze zanotowali w pamięci sukcesy „Czarnej sotni”, przemówienia Puryszewicza w Dumie i proces Bejlisa. Stworzono więc odczynną z jedynym problemem — żydowskim; Polskę bez chłopa i pana, bez robotnika i fabrykanta, bez farnala i chałupnika, bez baraków na Anopolu i czworaków dworskich — lecz z jednym strasznym widmem: ze sklepem biawatnym na Bielańskiej.

Jak było potem — wiadomo. Każdy z nas pamięta zielone czwartki warszawskie, pikiety, bójki, pogromy, walkę ze straganami i krwawe hece na wyższych uczelniach. Każdy, kto siedzi w pochodzie pierwszomajowym, ostatnim przed wojną, pamięta bomby rzucone na grupę robotniczą i trup kobiety z dzieckiem, która padła. To byli oni — dziedzice endecji, palkarscy Kmicice rozgrzeszeni po pielgrzymce, nie faszyści ale narodowi chłopcy z komerszów, walczący o Wielką Polskę wyzwołaną od zła — od żydowskiego nosa, od żargonu, od żydowskiego Skamandra i żydowskiego Boy'a.

Wszystko im sprzyjało w tych latach. Ruch robotniczy był rozbity, obłuda starych endeków podawała dłoń słabości postępców piłsudczyków, radykalna młodzież inteligentka pozwoliła się wpadzić w nicość młodziegłono-wych hasel i zasypać sobie oczy „postępcowym” piaskiem; z katedr profesorskich wiało rutyną, indyferencją i ustepliwością. Z wyjątkami. Bo byli oczywiście i wyjątki.

Wreszcie — znów fakt dobrze znany — zakończenie: logiczne, proste i konieczne. Polska niedługo miała być dziwną krainą dwóch zwalczających się faszyzmów. Generałów zjawili się na komerszach i wypito toast. Było to — powtarzam — nieuniknione i oczywiście „Kochajmy się” dwóch faszyzmów, znuzonych nieco drogą, jaką każdy z nich musiał odbyć do wspólnego celu.

Jakże to cel — odpowiedź znów prosta. Zastąpi ją może wspomnienie nie wszystkim zapewne znane. Po sojuszu OZN z Falangą, a niedługo przed wybuchem wojny (w roku zdaje się jeszcze 1938) na ulicach Warszawy, wśród wieczornych tłumów, na Nowym Świecie, Alejach i Marszałkowskiej zjawili się liczne grupki młodych ludzi, którzy zachowywali się dość dziwnie. Tak zapewne zachowywać się musieli towarzysze Horsta Wessla na dzień przed pożarem Reichstagu i włoskie Czarne koszule w wileńskim marszu na Rzym. Były to bowiem bojówki ONR-u ścigające do stolicy na pożary, marsze i „auto da fe”. Winicjusze dojrzał do czynu. Tej nocy gotowe były listy działaczy lewicy, którzy mieli podzielić los Matteottiego. Sztaby dwóch faszyzmów radziły nad taktyką zamachu. Tę noc nazywano nocą świętą Bartłomieja lub nocą Długich Noży. Niewiadomi Ossietzcy warszawscy leżeli już w łóżkach z Joyce'em w ręce, nie domyślając się niczego. Ale na szczęście do nich nie doszło. Bo nastąpiła czyjaś interwencja, bo popuły szyki czyjeś waha-

nia. Bo były wątpliwości, czy wojsko reche tłumie strajk powszechny, który niewątpliwie w konsekwencji by nastąpił, i czy zechce strzelać do robotników, którzy niewątpliwie wyszliby nazajutrz na ulice. Ta interwencja czy wątpliwość przyszła od strony sanacji, a ściślej — od strony sfer zamkowych. Czy było to bez znaczenia? Nie sądzę. Kto wie, czy w zmęczonym już i w opuszczonym przez wodza sanacyjnym faszyzmie nie odczuwała się wątpliwość bardziej zasadniczej natury. Czy nie zadrżało dawne, przytłumione przez czas sumienie „radykałów”. Lęk przed odpowiedzialnością wobec Boga i dziejów, która widniała na wstępie kwietniowej konstytucji. Nagła obawa czy wypadki jakie zaczęły się toczyć tak szybko, nie zawiodą do niezamierzonej meły. Kto wie... Może też Noc Bartłomieja oszczędziła Polsce inteligentką genealogia obozu Piłsudczyków.

Polska i tę noc miała więc spokojną. Polska — kraj bez faszyzmu.

III.

Zbyt bolesne są dzieje polityczne okupacji w Polsce, abym chciał je tu rozrzucać. Wydaje mi się wszakże niewątpliwe, że błędy popełnione w tym okresie przez część naszej inteligencji mają bezsporne źródła w przeszłości wygasłej i niedawnej, — a zwłaszcza w międzywojennym dwudziestolecu. Dezerentacja polityczna odłamu polskiego społeczeństwa, tak charakterystyczne niedostrzeganie właściwych kierunków, nurtów i treści społecznych, uleganie fałszywym atrakcyjności i urojonym lękom — tam mają swe korzenie. Fakt, że w Polsce tego okresu, w obliczu pełnej grozy faszyzmu, pod ciosami, które zadawał, możliwa była postać inteligenta - antysemity, inteligenta - antyludowca, inteligenta obojętnego na reformę socjalną — pozostanie przykrą zagadką dla badacza tych dni, jeśli nie zechce on sięgnąć do faktów dawniejszych o znaczeniu genetycznym dla dręczącego zjawiska. Polska wyszła z tego okresu bogata w doświadczenia najcięższe, w nauki tak srogie, że dziś — gdy polskiego inteligenta czeka wybór losu na długie pokolenia — warto się zastanowić nad treścią tego wyboru, nad tym, jaki jest ten wybór.

Układ polityczny Polski Odrodzonej zarysował się dobitnie, wyraziście, bez wielu przedwojennych dwuznaczności. Ruch robotniczy został zjednoczony w przymierzu dwóch partii, lewica chłopska uzyskała reprezentację polityczną w milionowym Stronnictwie Ludowym. Ideologia tego obozu nie jest egzotykiem: opiera się na postulatach nowożytności myśli społecznej, przyjętych przez świat postępu XX-go wieku; wyrosła na dawnych związkach z demokracją Zachodu i Wschodu; wykuta została w walkach o wolność ludu i państwa; zubożała ją przyjaźń ludowych ruchów emancypacyjnych Europy w wieku XIX i XX-tym, dążąc do włączenia warstw pracujących Francji, Włoch, Niemiec, Hiszpanii, Rosji, rozwijała się w ciągu długich pokoleń, budząc w najlepszych sercach i umysłach narodu polskiego nadzieję wyzwolenia. Na zawsze pozostaną z nią związane imiona: Kosciuszki, Staszica, Lelwela, Mickiewicza, Mochnackiego, Jeża, Limanowskiego, Daszyńskiego. Oboz, który ją dziś w Polsce wyraża ma za sobą nie tylko świetną przeszłość i wielkie imiona: realizuje Wielką Reformę, dokonaj przemian społecznych, przekroczył najtrudniejszy próg na drodze do wolności, stwarzając jej materialne gwarancje.

Pozostało PSL i pozostał „Las”. Linia polskiego podziału życia politycznego nie biegnie dziś inaczej niż przedtem — stała się tylko bardziej oczywista dla tych, którzy przedtem nie umieli patrzeć. PSL i „las” stawiam obok siebie i związek ten podkreślam nie dlatego, że pragnę wydatnie faktyczne zezapewienia PSL-u z ruchem faszyzmu podziemia, ich wzajemne koligacje i tajne parantezy. Nie. Związek ten istnieje w dramatycznej dynamice — nie tyle wypadków realnych ile w nieuchronności: stanciana się prawicy chłopsko-mieszczanckiej, którą reprezentuje PSL, w otchłań nihilizmu minionego dwudziestolecia, który reprezentuje „las”. Bo czymże jest dzisiejszy „las”? Przymierzem WIN-u z NSZ-em, dalszym ciągiem toasty wznieśionej przez sanacyjnych generałów z bojówkami ONR-u na moment przed huktem pierwszego dział. Dwa faszyzmy polskiego dwudziestolecia ciągną swój flirt już nie na komerszach, ale w posępnej, przydrożnej sielance, wśród wycieczek na zose, którą przejeżdża młocant czy robotnik. Rabie się go sikięra pod lasem, bo nie chce on uwierzyć w nową fikcję, z której faszyzm pragnie uczynić polski problem narodowy: w niebezpieczeństwo XVII-iej Republiki.

Dramat PSL-u nie polega tylko na groźnym przyplwywie do jego szeregów drobno-mieszczanckiego wsteczństwa, obcego ideologii ludowej, a nawet tendencjom politycznym konserwatywnego chłopstwa. Dramat PSL-u jest dramatem słabości, jest uwiadem duchowym stronnictwa, które nie potrafiło się odgrodzić od niekiedy ideologicznej dwudziestolecia, nie umiało zniszczyć politycznego sąsiedztwa z „lasem”, który miał stać się w ręku PSL dywersją przeciw lewicy, a który stał się dywersją przeciw PSL.

Polskie Stronnictwo Ludowe zapoznało nas z swym programem politycznym w grudniowej odezwie przedwyborczej. Obnażyło nam swą słabość ideologiczną w całkowitym podporządkowaniu się hasłom lewicy. Jest to naturalne, oczywiście. W dwa lata od manifestu lipcowego, w obliczu osiągnięcia Obozu Refor-

my żadne stronnictwo, nie występujące otwarcie z programem reakcyjnym, nie może lewicy przeciwstawić żadnych nowych haseł. Musi podjąć jej własne, musi ugiąć się pod siłą faktów. Zając schwytywany w świetle reflektorów, nie może się wyrwać z ich blasku, musi biec przed autem — aż padnie. W potężnym snopie idei i zdobyczy lewicy PSL biegnie na oślep przed siebie. Nie może wysunąć haseł reakcyjnych — bo nie uważa się za reakcję, osłania się więc programem lewicy — jedynym jaki można przedstawić wyborcy.

Ale jest sąsiad z lasu. Niewygodny sąsiad, który wyciąga wszystkie konsekwencje z przemilczeń PSL-u. Jeśli dziś jest dla każdego jasne, że program Polskiego Stronnictwa Ludowego zawiera milczącą negację dokonanych reform i zawartych sojuszków — jest to dziełem niewygodnego sąsiada, który negację tę wyraża głośno. Słabość PSL wytworzyła ów niezamierzony zapewne stan rzeczy: że w przeciętnym umyśle wyborcy „las” i PSL to nielegalna i jawna forma tego samego zjawiska — zjawiska negacji wobec dokonanych dwu-

lecia. Faszystowskie podziemie tworzy dziś ideologię PSL-u. Tę ideologię, z którą wiąże nadzieje wywłaszczony, „nieobecny” i „nieprzejednany”. Tylko głęboka świadomość ideologiczna może się oprzeć niewątpliwie sile nihilizmu. Tej świadomości PSL nie miała. Nie trzeba być faszystą, aby dać wpust dla faszystów. Dlatego używamy nieraz nazwy „faszysta” tam, gdzie widzimy fałsz ideologiczny, bezbronny przed faszystem. Postępowi pilsudczycy nie byli faszystami. Niemieccy katolicy nie byli faszystami. Włoscy libera-

łowie — nie byli faszystami. Nie byli nimi w swym sumieniu — lecz dali przewód dla faszystów.

PSL, nie osłonięte od strony faszystowskiego podziemia, przenikalne dla wszelkiej dywersji antydemokratycznej, stęsknione Londynu z jego centrum wojskowej emigracji sanacyjno-endeckiej stanowi groźny, choć może nieświadomy przewód dla faszystów w Polsce.

Kazimierz Brandys

PAWEŁ HERTZ

SNOBIZM I PODSTĘP

WALCE POLITYCZNEJ, która toczy się w Polsce między obozem reformy i wstecznikami o zlej czy nawet, co na jedno wychodzi, dobrej woli, rola inteligencji ma znaczenie szczególne. Szczególne zwłaszcza dla kraju, który o wiele później od innych krajów europejskich przechodzi od gospodarki opartej o ziemię do gospodarki opartej o przemysł. Wydaje mi się, że istotną treścią „łagodnej rewolucji” w Polsce jest właśnie ta zmiana kierunku.

Wielkie kraje Zachodu przeszły swoje rewolucje, które zmieniły zasadniczo oblicze Europy ubiegłych stuleci. Ogromne Imperium Rosyjskie przekształciło się po dwu kolejnych rewolucjach — mieszczańskie i proletariackiej. Pozostaliśmy, jako wolne i niepodległe państwo w Europie, jedną z niewielu enklaw wygasłego już feudalizmu, obok Hiszpanii, obok krajów bałkańskich. Feodalizm ten, rzecz prosta, nie był wzorowany na modelach średniowiecza, nie był zjawiskiem w jego czystej formie. Ale mimo konstytucji, mimo formalnej demokracji politycznej, sytuacja chłopstwa na wielkich obszarach naszego kraju, pozycja warstwy obszarnej, jej stosunek do spraw państwa, w wielu punktach przypominał stosunki z czasów ukraińskich królestw.

Stanowisko inteligencji w okresie wielkich przewrotów i zmian bywa zawsze podwójne. Związana silnymi węzłami z dawną kastą panującą z jednej strony, zdająca sobie sprawę, dzięki wykonywanym zawodom z nieuchronnością przemian, wiodących do postępu społecznego, inteligencja rozszczepia się przeważnie na dwa obozy.

U nas, gdzie formy przemian, dzięki wyjątkowej sytuacji historycznej są najbardziej łagodne ze znanych, a dawne kasty rządzące zostały dostatecznie skompromitowane przez samą historię, której widząmi naocznymi były wszystkie klasy społeczne w Polsce, inteligencja, jeśli pozwala się uwodzić głosom społecznego zacofania, to zapewne dlatego tylko, iż zacofańcy stroją się w piórka postępu.

Istnieje u nas niewątpliwie snobizm Zachodu. Nie myślę tu, rzecz jasna, o przekładaniu Picassa czy Prousta nad rodzimych Picassów czy Proustów, nie atakuję tych, którzy sięgają do kultury Zachodu, by z tego naturalnego i wspólnego dla wszystkich źródła czerpać istotne wartości.

Snobizm Zachodu polega u nas, jak mi się wydaje, na bezkrytycznym uwielbieniu systemu liberalnej demokracji, takiej, jaka istotnie w wieku XIX była wielkim krokiem naprzód w dziedzinie postępu społecznego, ale jaka dziś jest już tylko reliktem dawnych walk mieszczaństwa o hegemonię — mieszczaństwa, które straciło wszelkie elementy bohaterstwa, które z warstwy uciskanej stało się warstwą uciskającą, z czynnika postępu stało się czynnikiem samolubnego wstecznictwa. Hegemonia mieszczaństwa w wieku XX to nie zburzenie Bastylii, ale spalanie Reichstagu ze wszystkimi konsekwencjami tego pożaru.

Inteligentowi nie wolno o tym nie wiedzieć. Inteligentowi nie wolno nie znać historii. Nie wolno mu zamykać oczu na to, iż okres dobroczynnego działania kapitału minął już dawno, że pod wpływem nieustannego rozwoju liberalizm gospodarczy i polityczny prowadzi wprost do faszystów. Hitler został wybrany w wolnych, nieskrępowanych wyborach. To prawda. Ale prawdą jest również, że liberalizm weimarskiej

republiki stworzył wszelkie przesłanki dla ostatecznego wniosku, którego nie omieszkali wyciągnąć udziałowcy wielkich koncertów — faszystów.

W latach przedwojennych inteligent niechętnie używał takich słów jak trusty, koncerny, uważając, że można rozprawiać o świecie z pominięciem tych wszystkich konkretnych realiów, które ten świat tworzą. Woleliśmy mówić o rzeczach pięknych. Zapłaciliśmy zbyt wiele za niesłuchanie ostrzeżeń tych, których nazywaliśmy wiecowymi krzykaczami. Dziś okazało się, że na nielegalnych wiecach i fabrycznych marsówkach mówiono ważne dla nas prawdy o świecie.

Wydaje mi się, że westchnienia pewnych inteligentów za utraconym rajem zachodniego liberalizmu polegają na nieporozumieniu. Jest ono głębsze, niż snobistyczna maniera i należy je wobec tego zanalizować głębiej.

Istnieją dziś w Polsce dwa programy polityczne: jeden z nich deklamuje o duszy i o wolności indywidualnej, w rzeczywistości zaś broni się przed wprowadzeniem w życie tych wszystkich postulatów, które wolność taką gwarantują; drugi natomiast — nie wspomina nam o rzeczach pięknych i wzniosłych, ale proponuje wykonanie tego wszystkiego co jest niezbędne

ne. Przez wiele lat nie znaleźliśmy prawdziwego mechanizmu demokracji zachodnich. Nie znaleźliśmy ich dlatego, że pogardzaliśmy realiami na rzecz pięknych złudzeń i fałszywych wyobrażeń o strukturze świata. Mimo wielkiego doświadczenia narodowego, przez jakie przeszliśmy niezależnie od naszej woli, inteligent wciąż jeszcze ulega złudzeniu, że można dowolnie kopiować systemy polityczne bez względu na położenie i strukturę kraju.

„Łagodna rewolucja” jaka odbyła się w Polsce nie jest rewolucją mieszczańską, bo być nią nie mogła. Powstał nowy, nieznamy nam przed wojną model gospodarczy, który zawiera w sobie elementy gospodarki zbliżonej do gospodarki socjalistycznej przy równoczesnym zachowaniu tych wszystkich form życia gospodarczego z ustroju kapitalistycznego, które na danym etapie rozwojowym mogą pomóc i przyczynić się do szybszej odbudowy zniszczonego kraju.

Ta formuła „demokracji ludowej”, która realizuje się w naszym kraju i nie może nie być przyjęta przez inżyniera, lekarza, nauczyciela, architekta czy pisarza, gdyż oni to właśnie, świadomie czy nieświadomie, formułę tę realizują, ma prócz bazy gospodarczej mocną platformę polityczną.

Przekonanie o wyższości liberalnej demokracji zachodniej nad systemem „demokra-

tradycji historycznych drogami do socjalizmu, i ten, który będzie się opierał postępowi w imię dawnych haseł, które utraciły wartość, — czemu przypisywać mu tyle znaczenia?

Zdajemy sobie wszyscy sprawę ze znaczenia inteligencji dla sprawy zwycięstwa naszych programów ekonomicznych i politycznych — zdajemy sobie z tego sprawę po obu stronach ideologicznej barykady. W dyskusji z inżynierem, lekarzem czy naukowcem, z technikiem lub pisarzem zwolennicy „demokracji ludowej” mają argument niezbity. Mogą im pokazać kopalnię i huty, zakłady przemysłowe i szkoły, biblioteki i półki księgarskie. Sens ich w drugim roku po wojnie jest oczywisty. W Polsce powoli i z trudem, lecz nieustannie tworzy się warunki dla wolności prawdziwej, dla pełnego wyzyskania wszelkich wartości jakie tkwią w jednostce, dla całkowitego rozwinięcia wszelkich zdolności i talentów. Robi się to bez deklamacji o swobodzie jednostki, według suchych wzorów planu gospodarczego. Ten plan bowiem gwarantuje ową wolność.

Cóż pozostaje drugiej stronie, która nie potrafiła ani sama stworzyć konstruktywnego planu, ani nie zechciała przyłączyć się do jego wykonania? Pozostaje jej podstęp, fortel, odwoływanie się do wzorów, których już nietylko my w kraju zniszczonym stosować nie możemy, ale które z dnia na dzień tracą po tej wojnie sens na Zachodzie. I to właśnie czy dawny snobizm zostanie wyzyskany przez podstęp, czy na przekór cyfrom i faktom będziemy uparcie negowali rzeczywistość dla ideałów, które już dawno sięgnęły bruku, to właśnie zadecyduje o roli jaką spełni, jaką spełnić może inteligencja w nowym okresie historycznym kraju.

Nie ulega wątpliwości, że mimo niewątpliwie mniejszego procentu dobrobytu przypadającego na głowę w krajach demokracji ludowej i w krajach dawnego liberalizmu, ustroj demokracji ludowej jest w stosunku do ustroju liberalnej demokracji przodujący. Uwzględnia bowiem w większym stopniu doświadczenie i wiedzę ludzką i wykorzystuje je umiejętniej dla dobra większej ilości ludzi. Nie wydaje mi się, że należałoby agitować inżyniera, lekarza, technika czy nauczyciela. Sądzę, że każdy z nich w codziennej swojej pracy może narocznie się przekonać o tym, co stanowi istotę demokracji ludowej. Wybór inteligenta, jeśli zechce postępować zgodnie z wyciągniętymi przez siebie wnioskami, może być tylko jeden: poza snobizmem i wbrew postępowi.

Paweł Hertz



rys. M. Piotrowski

dla zrealizowania czterech wolności. Ta różnica między dwoma programami jest w istocie różnicą między dwoma poglądami na świat. I lata przedwojenne i wojna, oglądane dziś z perspektywy historycznej, pozwalają nam dokładnie ocenić wartość obu poglądów.

Ustalmy fakty: deklamacje o demokracji, pacyfizmie i braterstwie ludów z jednej strony, zabór Abisynii, likwidacja republiki hiszpańskiej przy obłudnej, milczącej zgodzie demokratycznych mocarstw Zachodu. Rozgałęzioną sieć francuskich sojuszków, Liga Narodów, pakt o wzajemnej pomocy — Monachium, przyzwalające na zabór Czechosłowacji. Demokracja zachodnia na wiele lat przed wojną była już tylko formą, kurtyną, za którą odbywała się wielka polityka podziału łupów, wyzyskiwania narodów słabszych, wreszcie okrutny wyzysk kolonii, który pozwalał, by w angielskiej Izbie Gmin przeciwnicy polityczni w dyskusjach mówili do siebie per „Czcigodny Gentleman”, a w wypadkach szczególnej wagi wspólnie radzili, jakie zachować pozory dla nieinterwencji w Hiszpanii.

Ci, którzy mówią: chcemy, żeby Polska była Anglią, mają zadanie bardzo ułatwio-

cji ludowej” ma również aspekt według którego tylko przy zastosowaniu demokracji politycznej dojść można do demokracji społecznej. Ale wiemy dobrze, że stosowanie zasad integralnej demokracji politycznej nie tylko nie przyniosłoby nam dziś w konkretnych warunkach żadnej demokracji społecznej, lecz przeciwnie, doprowadziłoby do zachwiania podstaw ekonomicznych, na których od dwóch lat kraj nasz się odbudowuje.

Rzecz jasna, że czterdziestomilionowa Anglia, korzystająca z pracy milionów w koloniach (znowu muszę powtórzyć prawdę, którą przywykliśmy uważać za wiecowy frazes) może sobie pozwolić na konserwowanie wszystkich elementów liberalnej demokracji. Za ten luksus płaci dziś Grecja, gdzie zasady swobody dla przeciwników reżimu nie są już tak ściśle przestrzegane jak na wyspie.

Jeśli więc zapatrznie we wzory demokracji liberalnej uważać należy za snobizm nieuzasadniony wobec zmienionych warunków rozwoju naszego kraju i wobec coraz to wyraźniej zarysowującego się podziału świata na ten, który będzie kroczył właściwymi dla poszczególnych narodów i ich

TREŚĆ NUMERU 2

Kazimierz Brandys i Paweł Hertz — Dialogi paryskie (II). Józef Sieradzki — Droga do postępu. Andrzej Stawar — Tadeusz Żeleński-Boy (IV). Kazimiera Halkowiczówna — Wiersze. Włodzimierz Sokorski — O demokratyzację wyższych uczelni. Jan Aleksander Król — Ludowe dziś może być to, co narodowe. Stefan Litauer — Sytuacja świata pracy w Ameryce po ostatnich wyborach. Elsa Triolet — Pierwszy kontakt. Ryszard Matuszewski — O poezji Czesława Miłosza. Seweryn Pollak — Polonica poetyckie po rosyjsku. Kandyd — Tak toczy się światek. Przegląd Prasy. Noty.

EDWARD CSATO

A P O L I T Y C Z N I

Sprawa jest znacznie rozleglejsza, ale zaczynamy od procesu morderców Ścibior-ka, Ścibiorek, poseł do K.R.N., sekretarz N.K.W. PSL i „Wici” zginął zamordowany dnia 5 grudnia 1945 r. w Łodzi, we własnym mieszkaniu. Sprawcy zbrodni byli wówczas nieznanymi. Dnia 11 grudnia odbył się pogrzeb, na którym członek Rządu RP z ramienia Polskiego Stronnictwa Ludowego wygłosił pełne troski ostrzeżenie pod adresem organów tegoż Rządu, że „tego rodzaju metody nie przyczyniają się do u zdrowienia życia politycznego kraju”, a dnia 4 listopada 1946 r. rozpoczął się w Warszawie proces wykrytych do tego czasu zabójców Ścibior-ka i sprawców kilku innych, podobnych zbrodni — pięciu młodych faszystów i jednej „apolitycznej” pani. Dla dokładności — może ktoś nie czytał sprawozdań? — stwierdzimy, że „apolityczna” nie mordowała, ani nie grabiła. Starala się tylko pomóc w ucieczce tamtym; przynajmniej tyle ujawnił przewód sądowy.

Nie jestem prawnikiem i nie interesuje mnie sam proces. Tym, co pragnę analizować, jest atmosfera psychiczna, panująca w społeczeństwie, w którym tego rodzaju spłaty przestępstw odbywają się w taki sposób. I takie wywołują skutki. Zadałem pisarza jest tropić nie zbrodnie, ale warunki, które tej zbrodni dają pożywienie, walczą z podłością, która zaczyna się zwykle bardzo daleko od wyciągniętej do strzału ręki. Słowem, chcę pisać o związkach, łączących się w bardziej lub mniej wyraźny sposób z ową zbrodnią i owym sądem.

W czasie trwania procesu rozmawiałem sporo na jego temat z ludźmi o różnych poglądach. Najbardziej zadziwiła mnie opinia deklarujących się z całym przekonaniem i spokojem jako „apolityczni”. Nie powiedzieli oni niczego konkretnego, ale ileż starali się zasugerować! Żadne z ich ostrożnych i wieloznacznych sformułowań nie uderzyło w proces wręcz, ale każde pragnęło coś w nim podważyć: jakimś wykrętnym ogólnikiem, nasuwającym brzydkie podejrzenia przykładem, a gdy już nawet tego nie stało, ekspresyjnym gestem, wymowną mimiką, intonacją głosu.

Szkoda, że nie rozmawiałem z tymi ludźmi po raz wtóry po zakończeniu procesu i owym znanym oświadczeniu obrony: „Proces wykazał, że obie strony z całkowitą swobodą i bezstronnością starały się zbadać prawdę. Należy stwierdzić, że kłamstwa, rozsiewane wokół tej sprawy zostały zdemaskowane”. — Ciekaw jestem, czy to oświadczenie ich przekonało? Obawiam się raczej, że nie wszystkich;

bardziej oczywistych dowodów i wiarygodnych oświadczeń przymknę oko, albo w jakiś inny, równie sprytny sposób da znak, że są tu jakieś straszne tajemnice, że wszyscy są przekupieni albo zahypnotyzowani, albo że wszyscy nie są sobą, a kimś innym, albo może, że my wogóle żyjemy we śnie, albo pod wodą, albo w piątym wymiarze, albo że nas zamordowano, a po ziemi chodzą już tylko sami „pełni agenci”.

Czemu tedy przytaczałem wogóle te opinie? — Ponieważ są one analogiczne do tych, które starały się urobić pogląd naszego (i nie tylko naszego) społeczeństwa bezpośrednio po zabójstwie Ścibior-ka... Wtedy były również znaczące gesty, strzępki zdań, urywki słów, zatrwożona mimika twarzy, szczerą boleść w głosie, nieufny wzrok; każdy z tych znaków dodawał coś do poprzedniego, a wszystkie razem na ślepo starały się insynuować, że sprawa nie jest jasna, że nasuwa poważne podejrzenia, że napewno nie jest z nią tak, jak mówi w swym komunikacie Minister Bezpieczeństwa. Charakterystyczne jest, że takie opinie wygłaszają ludzie, którzy w ogóle nie mogą posiadać żadnych informacji w danej sprawie; wówczas rekrutowali się oni przeważnie z tych, którzy poprzedniego dnia nawet nie mieli pojęcia o istnieniu człowieka nazwiskiem Ścibior-ka; a teraz znowu nie mogli wiedzieć o procesie nie ponad to, co przeczytali w prasie. Ale mimo to wyszeptują swoje pomysły do ucha dziesiątkom podobnych sobie „apolitycznych”; tworzy się z tego atmosfera, w której nikt nie wie niczego, niczego nie może być pewny, podejrzewa wszystko, nie mając dowodów ani za, ani przeciw. Zagranica (wiadomo która) podchwytuje te wieści z radością, martwi się nimi, interpeluje, a interpelacje owe z kolei są już dla naszych „apolitycznych” drugoczącym i ostatecznym dowodem.

Proces morderców Ścibior-ka jest poza wszystkim innym nad wyraz interesującym dokumentem społecznym naszych czasów. Można na nim znakomicie studiować koleiny tajnych dróg, wyrte przez przeciekającą z kraju plotkę. W kilka dni po zabójstwie Ścibior-ka młn. Bevin złożył w Izbie Gmin swe znane oświadczenie o „politycznym państwie”. Bevin mógł czerpać wiadomości z dwóch źródeł: od wywiadu angielskiego i od kół zbliżonych do Andersa. Oba te źródła informacyjne, gardząc danymi oficjalnymi, sięgnęły do „dół”: opierały się na krajowej, polskiej plotce. Plotka zaś urodziła się z niczego; jak mitologiczne prabóstwo, wyonla się z chaotycznego stanu polskich umysłów. Agentka wywiadu Andersa zeznała na rozprawie sądowej, że wiadomości swoje opierała na informacji dziennikarza z „Gazety Ludowej”; dziennikarz zaś ograniczył się do stwierdzenia, że informację tę uważał za niesprawdzoną pogłoskę, którą dzielił się tylko ot tak, przy czarnej kawie.

MANKAMENTY ATMOSFERY

O procesie morderców Ścibior-ka rozmawiałem także z pewnym dziennikarzem peeselowskim. Ten przyznawał zupełnie otwarcie, że — jego zdaniem — uczciwość procesu niczego zarzucić nie można. Wcale nie skłaniał się też do owych ekspresyjnych gestów, którymi poprzednio usiłował mnie zastraszyć apolityczni. Uważał jedynie, że „nadbudowa ideologiczna” rozprawy sądowej i ataki kierowane przez prasę „zablokowaną” na PSL były niesłuszne: bo przecież rozkaz morderstwa napewno nie wyszedł z tego stronnictwa. Potym rozmowa zesłała na sprawy inne, niemniej jednak związane z procesem. Mówiliśmy o atmosferze, panującej w polskim życiu politycznym; któryś z nas zauważył, że atmosfera ta sprawia, iż publicyści piszący o jakimś konkretnym zdarzeniu, dokonany pod samym niemal jego nosem, musi cały szereg twierdzeń przyjmować niejako na wiarę swoich przekonani. Wówczas mój rozmówca z PSL-u stwierdził, że po zabójstwie Ścibior-ka właściwie nikt nie mógł wiedzieć napewno, kim są jego sprawcy i z jakimi sferami politycznymi należy wiązać ich działalność. Lewica wysunęła wówczas tezę, że za morderstwo to ponosi odpowiedzialność reakcyjne podziemie;

wśród PSL-u przeważała opinia, że winowajców należy szukać na lewicy. W Polsce, gdzie tyle zdarzeń dzieje się jak gdyby w półmroku, taka sprzeczność sądów jest czymś zupełnie zrozumiałym. Bo — chociaż często potrafimy znaleźć po pewnym czasie rzeczowy, empiryczny dowód czyjejsz winy — inne znów sprawy do końca nie mogą wyjść z niejasności, w której utkwily. A gdzie nie można być swej prawdy pewnym aż do najdrobniejszych szczegółów, rozsądek każe zachować nieutożność i krytyczny stosunek wobec całości.

Rozumowanie to należy pozornie do rzędu tak prostych, że ścisłości jego nie podobna przeciwstawić żadnego kontrargumentu. Bo też w grucie rzeczy siła jego leży właśnie w schematyzmie, izolującym go od wszystkich burz i zawiłości dzisiejszego życia.

W przytoczonym powyżej rozumowaniu pomyłka nie polega napewno na fałszywości opisu. Przeciwnie, opis jest wierny. Błąd zaczyna się dopiero wtedy, gdy przedstawiony stan rzeczy zechcemy porównywać z jakąś idealną sytuacją i z porównania tego wysnujemy wnioski, że ustroj obecny, który powoduje wymienione w opisie mankamenty, jest zły i że jedynym godziwym stanowiskiem wobec niego jest negacja. Gdyby istotnie warunki ustrojowe naszego życia miały być złe (ze względu na podane wyżej kryterium: niejasność atmosfery politycznej, uniemożliwiająca rozeznanie sensu poszczególnych konkretnych zdarzeń), dobre musiałoby być ich zaprzeczenie. Rzeczelną analizą obecnej polskiej sytuacji przekonuje jednak, że nie ma takiego ustroju, który mógłby spowodować jakąkolwiek zmianę na lepsze pod tym względem. Przyczyn bowiem owej niejasnej atmosfery należy szukać gdzieś indziej.

Okresy walk w żadnej epoce historii nie szły w parze z możliwością jednoznacznej interpretacji poszczególnych etapów tych walk. Zawsze otaczała je jakaś mgła niepewności, działająca ujemnie na zaufanie społeczeństwa wobec walczących stron. — Znaczący strategii wiedzą, że walka nie odbywa się na ogół w świetle dnia; jej domeną jest raczej mrok, zezwalający na sprawne niszczenie wroga. Ale również podejrzenia i wątpliwość wylatują zwykle na żer razem z pierwszym łopotem skrzydeł ptaków zmierzchu. Połączenia te są nieuchronne i nie przeciw nim nie poradzi nawet najlepsza wola, gdy zamiast polemiki parlamentarnych broni w walce staną się wyszczerzone z krzaka automaty.

Użyliśmy przed chwilą wyrażenia „polska rzeczywistość”. Ludzie, którym wargi składają się na ten dźwięk do ironicznego uśmiechu, skłonni są mniemać, że rzeczywistość ta jest wyznaczona jednostronnie — koncepcjami lewicy społecznej, realizowanymi przez organa władzy państwowej. Nieprawda. Skoro rzeczywistość zdefiniowaliśmy jako kompleks społecznie uzasadnionych warunków życiowych, musimy przystać również i na to, że nie wszystkie spośród tych warunków są wynikiem myśli politycznej Obozu Reformy. Czające się w leśnych haszczach bandy tak samo określają w pewien sposób styl życia nam, jak pracownikom UB i Milicji. Nawet im bardziej niż nam, ponieważ oni są wojskiem walczącej demokracji.

A więc demokracja, którą dopiero trzeba wywalczyć. Ale walka ma swoje własne prawa, wynikające z jej wewnętrznej struktury; operuje np. przeważnie młarami największymi, nie licząc się z indywidualnymi ludzkimi uczuciami. Na ogół nie są to prawa wygodne i łatwe, zwłaszcza dla jednostek, niezainteresowanych bezpośrednio losami walki; mimowoli rodzi się w ich sercach bunt przeciw rzeczywistości, czy urojonej krzywdzie, wyrządzonej im nawet bezwiednie przez bieg jakiegoś drobnego kółka w skomplikowanej maszynie nerfii pojedynku dwóch nienawidzących się wzajemnie sił społecznych. /

Oczywiście łatwo jest wymagać od władz państwowych, aby „zaprowadziły w kraju pełny porządek”. Z chwilą, w której by to nastąpiło, cała owa „niejasna atmosfera” zniknęłaby niejako automatycznie, razem ze wszystkimi nieufnościami, dezorientacjami i wątpliwościami, nad którymi tak boleliśmy z moim rozmówcą, peeselowcem. Brak oświetlenia w pociągach jest analogicznym skutkiem wojny, okupacji i zniszczenia kraju, jak istniejący jeszcze pewien nieporządek w dziedzinie bezpieczeństwa wewnętrznego. Ten ostatni, choć może być — w przeciwieństwie do pierwszego — rozpatrywany z punktu widzenia moralnego, nie przestaje być jednak przede wszystkim problemem technicznym. Porządek w kraju, to sprawnie działająca administracja, dobre urządzenia alarmowe, łatwość komunikowania się z odległymi punktami zarządzanego terytorium, milicjant na każdym rogu ulicy, wdrony do pełnienia swej służby w warunkach pokojowych, w których nie potrzebuje lękać się podstępów, zasadzek,

W tym oświetleniu sprawa nabiera innego charakteru. Liczenie przewinień stron walczących nie doprowadzi do niczego. Mówię o tym z pełną świadomością faktu, że taki rachunek, rzetelnie a skrupulatnie przeprowadzony, dałby olbrzymią przewagę obozowi lewicy; bo z jednej strony mielibyśmy tylko różnego rodzaju nadużycia administracyjne, tropione zresztą i likwidowane w miarę coraz bardziej powiększających się możliwości; z drugiej — rozpanoszone potwornie terror, grabież i mord. Rachunek taki pozwoliłby więc niechybnie zorientować się we właściwych perspektywach sytuacji, a za nierealny uważam go jednak dlatego, że on sam nie potrafi pokonać plotki. Proces zabójców Ścibior-ka wykazał między innymi najzupełniejszą czystość organów bezpieczeństwa i obozu lewicy w sprawie, o której tak haniebne potwarze kursowały i zagranicą; niech odbędzie się jeszcze sto takich procesów — czy to wystarczy? Nie wątpiłbym następowały wtedy pewna poprawa, ale mimo to insynuacji nie zabraknie przecież pokarmu, dopóki istnieje ci, co o ten pokarm dbają. Każdy, kto szczerze boleje nad niedoskonałościami obecnego okresu posiada możliwość włączenia się do wielkiej — w rozmiarze — akcji ulepszenia organizacji i techniki naszego życia. Niepodobna jednak wierzyć w szczerotę człowieka, który przypatruje się tej pracy z boku, po to jedynie, aby krytykować jej wyniki w sposób jednostronny, rejestrując tylko błędy i niedociągnięcia, aby stawiać wielkie wymagania, a wreszcie, aby oburzyć się na władze państwowe, które tym wymaganiom w nazbyt trudnych początkowo warunkach od razu sprostać nie potrafią i insynuować, że braki te spowodowane są wadami ustroju.

Dochodzimy tu do punktu wyjścia tego rozdziału. Walka o zlikwidowanie podziemia i urzeczywistnienie ustrojowych i technicznych warunków demokracji jest równocześnie walką o uzdrowienie atmosfery. Na pewno zaś nie przyczynią się do uzdrowienia tego ci, którzy głośno i cicho nie przestają na ową atmosferę narzekać; tak samo, jak np. usprawnienie komunikacji jest zasługą ofiarnych kolejarzy, w pewnym stopniu również podrózników, zwracających uwagę na konkretne niedociągnięcia, a na pewno nie tych, którzy dowodzą, że pociągami jeździć nie będą, ponieważ PKP grzęźnie w bałaganie.

Na ostatnich łódzkich obradach literatów witałszy Zjazd przedstawiciel PSL-u przemówił do nas w pewnym momencie słowami „Książki” Mickiewicza: „O ile polepszyli i polepszyć duszę waszą, o tyle polepszyli prawa wasze i polepszyli granice”. Analiza rzeczywistych stosunków, panujących obecnie w naszym kraju, zdaje się przekonywać o czymś zgoła przeciwnym. Jeśli rządzącemu obozowi polskiej lewicy uda się uwieńczyć pomysłem skutkiem jej starania o unicestwienie demoralizujących wpływów podziemia, o zapewnienie ludzkom pracy godziwych i wygodnych warunków życia, o stworzenie dostatecznego leczenia, dobrze wyposażonego, i podlegającego skrupulatnej kontroli społecznej aparatu administracyjnego, „dusza” naszego społeczeństwa stanie się automatycznie lepsza i uczciwsza. Bo w rzeczywistości istnieje jedna tylko droga wewnętrznej doskonałości się człowieka, po przez jego aktywny udział w pracy nad ulepszeniem społecznych form życia grupy, do której należy. Ta uwaga niech zakończy przydługi nieco ustęp, poświęcony narzekaniom na niewłaściwą atmosferę moralistom „apolitycznym”.

ROBOTNICZY PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Ukazał się numer 7 o następującej treści:
W Bloku Wyborzym

W. SOKORSKI:

Związki Zawodowe a wybory

K. RUSINEK:

Sytuacja gospodarcza a postulaty świata pracy

K. WITASZEWSKI:

Współpraca

J. KOWALCZYK:

Dzielnia Narodowa

Z. GROSS:

Myśl polityczna w ruchu zawodowym

L. MOTYKA:

Dwa lata — dwie rocznice

S. CIESLIKOWSKA:

Nowe kadry

W. MAMROTOWA:

Klasa robotnicza a ubezpieczenia społeczne

W. KUSZYK:

Światowa polityka żywnościowa

PRZEGLĄDY:

Na froncie odbudowy — kolejnictwo — Nowe książki — Ruch związkowy w Polsce — Światowy ruch związkowy — Przegląd gospodarczy — Nowe wydarzenia — Fakty i dokumenty.

STRONNICTWO LIBERALNE LUDZI APOLITYCZNYCH

Przypominam, co mój rozmówca z PSL-u powiedział o procesie zabójców Ścibiora: że był on najniewłaściwiej rzetelny, a jedynie „nadbudowany politycznie”. To jego oświadczenie — które słyszałem jeszcze później kilkakrotnie powtórzone z innych ust — nasuwa jedną zasadniczą wątpliwość: co było pierwsi „nadbudowane politycznie”, proces, czy samo zabójstwo? I przez kogo? Bo gdy czytałem stenogramy sądowe, kilkakrotnie narzucało mi się niedoparte wrażenie, że polityczne momenty na rozprawie stanowiły raczej obronę przed jakimś niewidzialnym atakiem. Więcej nawet; pisząc te słowa, dostrzegam nagle w sobie myśl, że dotychczasowy tok moich własnych rozważań posiadał przecieć również formę jak gdyby obrony... Obrona w momencie takim, jak proces o zabójstwo Ścibiora, popełnione przez działaczy podziemnej opozycji? — A PSL tak się skarży na ataki ze strony lewicy!

Nie wstydzmy się, że jest na prawdę obrona. Obrona może czasami przybrać formę ataku; np. odparcie najazdu hitlerowskiego przez Polskę zakończyło się, jak wiadomo, gdzieś w okolicach Bramy Brandenburskiej. Otóż w momencie, gdy sprawy polskie ustaliły się mniej więcej w ten sposób, że PSL znalazło się w przeciwnym obozie niż lewica, schemat ustroju nowej Polski był już w ogólniejszych zarysach ustalony. Dokonała tego „rewolucja łagodna” 1944 r. Dziś wszystkie walki polityczne, w których lewica bierze udział są z jej strony tylko obroną praw tej rewolucji. I nie przestaną nią być nawet wtedy, gdy doprowadzą do ostatecznej likwidacji faszyzmu w Polsce.

PSL odnosi się z koleją nieufnie, ba, wrogo do osiągnięć „łagodnej rewolucji”. Wróćmy znowu na chwilę do sali sądowej, w której toczył się proces Płonkiego i towarzyszy. Zeznający w nim radykalni działacze chłopski z „Nowego Wyzwolenia” stwierdzali jednogłośnie, że ludzie, których można słusznie uważać za twórców charakterystycznej dla dzisiejszego PSL-u atmosfery, zdecydowanie negowali wszystko, co zbudowano w Polsce nowego w okresie od Manifestu Lipcowego do umowy moskiewskiej. „Uważano, że to, co jest, to co się stało, to jest złe i że jest to złe, które musi przeminąć, które trzeba zważyć”. (wicemin. Rek). Niepodobna nie wierzyć słowom tych świadków, choćby dlatego, że stwierdzają oni rzeczy znane, z którymi każdy z nas na pewno stykał się nieraz. Istnieje cała wielka partia ludzi, niezwiązanych żadnym statutem ani rygorem organizacji; zamiast tego wszystkiego poznają się oni i współdziałają ze sobą przy pomocy tej jednej prościuchnej dewizy: „to, co jest, jest złe, które trzeba zważyć”. Ci ludzie, to właśnie „apolityczni”. Hasła liberalne traktują oni jako rodzaj „ideologicznego dynamitu”, albo może bardziej zgodnie z duchem czasu, jako polską bombę atomową. Trzeba przyznać, że ich rachuby opierają się istotnie na dość trzeźwej ocenie sytuacji; bieda tylko w tym, że owa bomba, wysadzając w powietrze ograniczenia, jakie narzuciła naszemu społeczeństwu rewolucja ludowa, unicestwiłaby przy tej okazji także i Polskę.

W dotychczasowym toku rozważań wygłaszałem niejednokrotnie pewne sądy o „apolitycznych”, nie starając się na razie sprecyzować sensu tego wyrażenia. Trzeba przyznać, że nie jest ono wcale jednoznaczne i reprezentuje ludzi o dużych nieraz różnicach poglądów. Na ogół jednak bez względu na te różnice ludzie ci mają ze sobą tyle wspólnego, że nigdy prawie nie opowiedzą się po stronie postępu. Jeśli bowiem na prawdę nie posiadają żadnych ustalonych wyobrażeń w dziedzinie polityki, kierują się uprzedzeniami i nawykami, zakorzenionymi w nich często nawet bez ich woli i świadomości. Nawyki te u większości ludzi mają charakter zdecydowanie konserwatywny i niechętny postępowi. Najlepsi i najszczerzy z nich będą zatem czuli do nowych form życia niechęć za rozwalenie dotychczasowych tradycji, do których zdążyli przyzwyczaić się w ten sposób, w jaki można przywyknąć do wygodnych, ciepłych pantofli. Nie oni zresztą nadają wyraz dzisiejszemu klanowi apolitycznych; czynią to raczej świadomi, choć zakonspirowani przeciwnicy demokracji ludowej. Wszystkie rodzaje „apolitycznych” odznaczają się tą wspólną cechą, że swój protest przeciw obecnym formom więzi społecznej

wyrażają hasłami liberalizmu. I tu spotykają się z PSL-em.

Liberalowie peeselowscy i apolityczni motywują swoją nieufność do „dzisiejszej polskiej rzeczywistości” przeważnie tym, że jest to rzeczywistość „narzucona”. Istotnie. Rewolucja ludowa, choć nosi miano „łagodnej” narzuciła polskiemu społeczeństwu pewne formy, dotychczas nieznanne mu i obce. Inaczej nie byłaby w ogóle rewolucją. Zostały stworzone pewne nowe ramy produkcji, techniki życia społecznego, politycznego, kulturalnego; ale konserwatywna (to jest u człowieka niemal naturalna) świadomość dużej części społeczeństwa nie może nadążyć za gwałtownym tempem tych przemian. W ten sposób powstaje konieczność zastosowania pewnego nacisku; z naciskiem tym zmagają się bezradna ludzka myśl, która lubi przemiany tak powolne, że aż niedostrzegalne dla niej samej, nie znosi cienia przymusu i zwykła okazywać brak zaufania wszelkim nieznanym zjawiskom. Nowe formy społeczne wymagają, aby się do nich dostosować natychmiast, uczuciom jednak musi być zostawiony pewien czas, aby rozlokowały się swobodnie w zmienionej przestrzeni i mogły przylgnąć na nowo do kształtów otaczającego je świata. Uczucia protestują przeciw więzom, żądają dla siebie swobody, prowokują intelekt do czupurnego głoszenia liberalizmu. Przemiany, które się dopiero rozpoczęły, uformowały nasz świat tylko zgrubsza, tak że posiada on jeszcze tysiące nierówności i ostrych kantów. Zrozumieć groźne, przenikliwe, aż bolesne niemal piękno tego świata potrafi tylko ten, kto z pełnią świadomości przystępuje do pracy nad jego szlifowaniem i doskonaleniem. Ci zaś, którzy przestraszeni, urażeni, czy niechętni odsuną się od tej pracy, będą zapadać coraz głębiej we własną nieufność; oplątani tysiącem podejrzeń, nierozumiejący ani krzyczy z otaczającego ich i wyprzedzającego ich życia, potrafią zdo-

STANISŁAW EHRlich

Głos Zilliacusa czyli perspektywy pokoju

Nakładem „Czytelnika” ukazała się książka Zilliacusa „Między dwiema wojnami”. O ile „Czytelnikowi” należy się pochwała za wydanie tej nasyczonej treścią polityczną książki, o tyle dziwić się należy prasie, że na ogół książkę Zilliacusa przemilczała.

Z kart książki tej przemawia nie tylko wybitny parlamentarzysta i działacz Partii Pracy, ale człowiek, który, jako wieloletni pracownik Ligi Narodów, miał wiele szczególnych okazji do śledzenia płątaniny politycznych intryg i do rozszyfrowywania istotnych motywów politycznych posunięć. Z kart książki przemawia wreszcie człowiek rozporządzający informacjami nie tylko niezwykle ale i źródłowymi, — przemawia b. oficer Intelligence Service, który pełnił tę służbę w burzliwym okresie zbrojnej interwencji aliantów przeciw młodej rewolucji rosyjskiej. Rachunek sumienia politycznego, jaki nam przedstawia, pozwala dostrzec w tej książce nie tylko przeobrażenie agenta Intelligence Service w działacza politycznego, ale coś więcej: wnikliwą analizę sytuacji politycznej dokonaną przez męża stanu.

Myśl naczelna książki, idea wielokrotnie formułowana przez Zilliacusa brzmi: politykę zagraniczną Anglii po pierwszej wojnie światowej dyktowały interesy plutokracji. Interesy te sprzeczną się nie tylko z interesami klasy robotniczej, ale z interesami narodu angielskiego. „Posiadacze są po prostu niezdolni — powiada Zilliacus — do widzenia interesów narodu inaczej, niż jako rozszerzone interesy własnej klasy. Sercem swoim przytakują bez zastrzeżeń znanemu dictum Bismarcka, że kraj, który odebrałby mu jego własność, przestałby być jego ojczyzną. Bogactwa szczerze są oburzeni brudnym materializmem biedaków, którzy żądają dla siebie lepszych pomieszczeń, lepszej strawy i oświaty”. (s. 22).

W innym miejscu znajdujemy taką diagnozę: „...w miarę rozwoju „finansowego i monopolowego” kapitału, „lordowie” handlu, przemysłu i banków zaczęli ekonomicznie i społecznie

być się jedynie na wrogi odruch protestu. Nie mogli pogodzić się z chwilowymi niedostatkami i brakami nowego życia, wzbuchali gwałtownym oburzeniem przeciw najbliższemu przekroczeniu młodej administracji; ich nadwrażliwa szlachetność kałała im zniechęcić te braki i ustrój; ta nienawiść będzie się w nich rozwijała coraz intensywniej, aż w końcu za zrozumiałą samoobronę uznają morderstwo, zabunek i gwałt.

Ludzie, którzy właśnie gwałt i morderstwo uczynili swymi metodami w walce z organizującym polskie życie obozem postępu, nie potrzebują niczego więcej. Wystarczy im, jeśli napotkają w jakimś legalnym ośrodku życia społecznego nieufny stosunek do swoich przeciwników, a zrozumienie i współczucie dla siebie. Panek, Płonki i towarzysze na pewno nie zamordowali by Ścibiora, gdyby nie otaczająca ich atmosfera, wyrażająca się w najwyższych swoich rejonach niewczesnym, a pełnym negacji liberalizmem, a niższej przybierającą coraz szpetniejszą postać niehamowanego niczym terroru.

POLSKA ELEKTRA NA LETNISKU

Tegoroczny urlop spędziłem w pewnym górskim uzdrowisku na południowym krańcu Ziemi Odzyskanych. Słońce świeciło tak pięknie i otaczający nas krajobraz robił tak sielankowe wrażenie, że wśród gromadki kuracjuszy nie było na ogół mowy o trudnych i nużących sprawach politycznych. Między innymi poznałem tam pewną uroczą panią Jadzię, warszawiankę, która poświęcała znaczną część dnia swemu zdrowiu i urodzie, a poza tym lubiła czytać „Szpilki”, „Przekrój”, „Odrodzenie” i bajki Brzechwy. Była spokojna, dystrygowana, umiarkowana w sądach, matłomówna, zwłaszcza gdy rozmowa (wbrew słońcu i górcom) zboczyła przypadkiem w dziedzinę polityki. Powiedziała nawet kie-

dyś o sobie, że jest „całkiem apolityczna”.

Trzeba było dopiero jakiegoś przedłużającego się w późną noc wieczoru, składającego do szczeroci księżycy i zbyt już chyba męczącej rozmowy w niewielkim gronie osób — rozmowy o polityce, oczywiście... W pewnym momencie pani Jadzia wybuchnęła taką tyradą, że drugiej podobnej nie spodziewam się usłyszeć do końca życia; tyle w niej było płomieni i tyle (tajonej długo) nienawiści. Zakończyła gwałtownym wyznaniem, że tak by strasznie chciała, aby jakiś olbrzymi ogień spalił w jednym momencie wszystko, co zostało w Polsce zbudowane przez Rząd Reformy Społecznej; niechby nawet spłonęła w tym ogniu cała Polska, niechby nawet razem z nią sama — ona nie wyobraża sobie większego szczęścia... — Męczyła mnie myśl, że skądś znam tę tyradę; ach, prawda, z „Elektry” Giraudoux! Byłem więc mi mowolnym świadkiem, jak objawia się polska Elektra.

Trapiła mnie wtedy myśl, kto będzie Orestesem tej Elektry. Właściwie nie było potrzeby długo się nad tym zastanawiać. Polska Elektra, apolityczna maksymalistka, wyrażona z twórczego toku życia natręctwem swojego urojenia, nieufna wobec zła i wobec dobra, którym darzy ją budujący się nowy ustrój, nie mająca nigdy zamiaru skończyć swej wojny (do słów Hermarka) — ta Elektra już sobie znalazła Orestesa, takiego, na jakiego zasługuje. Orestesem tym jest podziemie. Jej pusty patriotyczny gest, jej święty zapal, jej pogarda dla „materializmu”, pragnącego ugruntować szczęście człowieka przez zapewnienie mu pokoju i dobrobytu — jakież niezwykle dopełnienie znajdują w huku strzałów, wysyłanych z przyrodzonego krzaka przeciw działaczom demokracji, i w krwawym błasku palących się wsi, którym spodobał się nowy porządek!

Edward Csató

stąpić się w jedną całość ze starą arystokracją dla uformowania nowej plutokracji, która obie partie i konserwatywną i liberalną jednakowo opanowała. To wyjaśnia, dlaczego większa część partii liberalnej zajęła imperialistyczne stanowisko w wojnie z Boerami i wyjaśnia dlaczego rząd Asquith-Greya wtrącił nas w wojnę światową kontynuując politykę zagraniczną swoich konserwatywnych poprzedników”. (s. 27).

Mężowie zaufania kapitału monopolistycznego paraliżowali wysiłki Wilsona zmierzające do założenia fundamentów pod trwałą pokój. Ci ludzie organizowali wojnę interwencyjną przeciwko Rosji Radzieckiej. Ci ludzie zdecydowali po pierwszej wojnie światowej o losach świata.

Zilliacus cytuje charakterystyczny protokół posiedzenia gabinetu wojennego z 22 stycznia 1918 r.: „George Buchanan powiedział, że wolałby, aby zerwanie z bolszewikami nastąpiło wcześniej, żeby zapobiec propagandzie w Anglii, ponieważ jest ona niebezpieczna i pociągająca dla tych, co nie mają nic do stracenia...”

Niemcy też będą zadowoleni z naszego zerwania z bolszewikami i wycofania naszych przedstawicieli z Petrogradu, gdyż oczyści to dla nich pole działania”. (s. 64). I wtedy to „na arenie pojawił się — wywodzi Zilliacus — jako „mocny człowiek” Churchill, prowadzący w imieniu Ministerstwa Wojny własną politykę interwencji. W tym celu wydatkował on miliony funtów w wpływów podatkowych i przyczynił się do wymordowania bardzo wielu ludzi w Rosji. Co więcej, wykazał zupełny brak skrupułów w polityce, zastanawiający w osławionym czasie interwencji”. (s. 69).

Jak widzimy „fultońskie pomysły” Churchilla nie są żadną niespodzianką. Niespodzianką było tylko, że inspirator zbrojnej interwencji mógł się stać inspiratorem rządu Partii Pracy Attlee-Bevin. Demokracja Churchilla to „kontynentalne złudzenie”. Między Ne-

ville Chamberlainem a Churchillem to tylko różnica, że pierwszy fałszywie oceniając dynamikę faszyzmu był gotów podporządkować państwu osi interesy imperium za cenę wojny ze Związkiem Radzieckim. Taki bowiem był istotny sens Monachium. Natomiast Churchill „strażnik wielkości Imperium Brytyjskiego” w porę dojrzał ryzykanctwo i nieodpowiedzialność takiej polityki — przez co ani na jotę nie przestał być imperialistą.

Książka Zilliacusa pisana przed wojną zachowała w pełni walory aktualności, nie tylko dlatego, że autor przewidział bieg wypadków, ale przede wszystkim dlatego, że pokazał mechanizm „wielkiej polityki”, prawdziwych instygatorów drugiej wojny światowej. Jak w książce Cassiusa, poświęconej imaginacyjnemu procesowi Mussoliniego przegwożdżono Die-Hardów, pełnomocników F. B. I. (Federacji Brytyjskiego Przemysłu). Zilliacus jest przekonany, że wojny można było uniknąć, gdyby nie to, że konserwatyści urzeczni mirażem zniszczenia Związku Radzieckiego zabrnęli w politykę, nie mniej awanturniczą od agresywności wodzów faszyzmu.

„Kiedy w 1931 r. Japonia dokonała inwazji na Mandżurię, rząd narodowy z przyczyny zupełnie określonej tolerował tę napaść. Było pożałowania godne, że Japonia rozpoczęła działania agresywne, ale wobec faktu dokonanego rząd uważał za lepsze puścić Japonii w niepamięć jej wystąpienie i utrzymywać nadal z nią stosunki, aniżeli współdziałając z USA, Ligą Narodów i ZSRR przeciwstawić się agresji japońskiej i zatrzymać ją. Wywołała to obawa, że zwycięstwo Chin oznaczałoby jednocześnie triumf antyimperialistycznego chińskiego ruchu ludowego i rewolucję w Japonii. Taki stan rzeczy uniemożliwiłby na całym Dalekim Wschodzie istnienie imperializmu”. (s. 88/9).

Nadzieje, jakie plutokracja pokładała w agresywności państw osi sprawiły, że puszczono płazem napaść na Abisynię. Zastosowanie sankcji w stosunku

do Włoch zahamowałyby bowiem impet agresji. Pod pretekstem nie mieszania się w „konflikty ideologiczne” plutokracja angielska wydała demokrację hiszpańską na łup włoskiego i niemieckiego faszyzmu. Owcześnie rząd angielski zaangażował się aktywnie po stronie faszyzmu. „Rząd angielski zmuszał słaby i potulny rząd Bluma do zdrady wobec Hiszpanii grożącej mu, gdyby odmówił, pozostawieniem Francji bez pomocy w razie napaści włoskiej lub niemieckiej”. (s. 106/7).

„Późor „niebrania udziału w wewnętrznych sprawach Hiszpanii” był jedynie ordynarnym kłamstwem ułatwiającym w rzeczywistości branie udziału w wojnie faszystowskiej przeciwko demokracji hiszpańskiej... W pierwszych tygodniach wojny, kiedy hiszpański rząd panował nad morzem, Hiszpanie próbowali zatrzymać dostawę benzyny dla buntowników przez tankowce angielskie. Zagrożono im natychmiast, że o ile nie zaniechają „nieuzasadnionego przesadzania”, zostanie przeciw nim rozpoczęta angielska akcja wojenna na morzu. Ale w urzędowaniu przez buntowników blokady Bilbao — rząd angielski pomagał”. (s. 116). Tyle Ziliacus. Wniosek z jego książki płynie jeden: *plutokracja angielska spowodowała pierwszą wojnę światową, i ona jak najaktywniej współdziałała w rozpętaniu drugiej; Churchill nie pozwala wątpić, że szykuje ona trzecią. Zagadnienia jakie Ziliacus porusza nie pozwalają na pozostanie w ramach recenzji. Każdy zadaje sobie pytanie czy nie poruszamy się w zakłętym kręgu wojen światowych, które nieuchronnie prowadzą do zagłady cywilizacji? Znowu jesteśmy po wojnie światowej. Znowu jesteśmy świadkami obrad Wielkiej Czwórki. Znowu Anglicy wykazują niezrozumienie problemu niemieckiego, jak o tym świadczy wizyta Schumachera, praktyka „denazifikacyjna” i polityka gospodarcza w ich strefie okupacyjnej.*

Znowu Anglicy radziby wziąć w obronę gen. Franco. Sir Hartley Shawcross, który w czasie półoficjalnych spotkań w Polsce nie omijał okazji, by mówić o wolnych wyborach (free elec-

tions) na posiedzeniach Rady Bezpieczeństwa poświęconych sprawie Hiszpanii niezbyt wiele troski wykazał o wolne wybory w tym kraju. Język jego przypominał — jako żywo — słownictwo lorda Plymouth z okresu sławnej nieinterwencji. Przedstawiciele Wielkiej Brytanii na Radzie Bezpieczeństwa niepokoił się, by zbyt ostre wystąpienie przeciw gen. Franco nie wywołało wojny domowej w Hiszpanii. Pochwały godna troska, zasługująca na uznanie, niechęć mieszania się w sprawy wewnętrzne innych krajów nie znalazły, niestety zastosowania w Grecji, gdzie właśnie rozpętanie wojny domowej jest dziełem interwencji angielskiej. W Stanach Zjednoczonych odeszli ludzie Roosevelta. Następcy ich uważają terrorystyczną dyplomację bomby atomowej i dolara za najlepszy sposób ugruntowania pokoju, rozumianego, jako Pax Americana. Czyżby istotnie na kartach historii los pisał rozdział, którym trzeba by dać złowroczyny tytuł książki Ziliacusa „Między dwiema wojnami”?

Nie ulega wątpliwości, że „wielka parada” na Bikini, manewry za kołem podbiegunowym, zatrzymanie baz wojennych w Grenlandii i Islandii, w Dakarze, na morzu Śródziemnym i na wyspach Oceanu Spokojnego, tak samo, jak trudności czynione w rozwiązaniu zagadnienia Triestu, prowokacje bombowców amerykańskich nad Jugosławią, prowokacje floty wojennej na wodach terytorialnych albańskich, osadzenie na tronie wbrew woli narodu greckiego Jerzego Glücksburga i, ostatnio wreszcie „incydent” w Azerbejdżanie irańskim — mają wszelkie cechy politycznej prowokacji. Nie są to groźby wojenne, ale zajmowanie jak najdogodniejszych pozycji w traktatowych targach. Wiadomo jednak, że powódze nie prowokujące, zależy nie tylko od jego agresywności, ale i od spokoju prowokowanego, który swoją postawą zawsze może zniweczyć zamiary przeciwnika. Związek Radziecki wykazuje w swojej polityce stopień spokoju, konieczny dla załamania się tej prowokacji. Spokój ten płynie być może z faktu, że Czerwona Armia wciąż jeszcze stoi na Łabie i że Związek Ra-

dziecki ma sojuszników, którym niebezpieczeństwo niemieckie dyktuje politykę zagraniczną całkowicie zbieżną z linią polityki radzieckiej. Nie tylko dla państw słowiańskich, ale i dla Francji — mimo wewnętrznych rozgrywek — sprawa okiełznania Niemiec, to sprawa życia i śmierci. Związek Radziecki ma sojuszników niezawodnych w Anglii. Są nimi wielkie masy robotników. W okresie interwencji, bo w czerwcu 1919 r. na konferencji Partii Pracy w Scarborough przyjęto rezolucję, domagającą się zwołania konferencji narodowej, której zadaniem byłoby zorganizowanie strajku generalnego, aby zakończyć wojnę interwencyjną przeciw republikom radzieckim. Od tego czasu nastroje proradzieckie w masach robotniczych Anglii jeszcze bardziej się pogłębiły, jak to przekonywująco pokazuje wojenna powieść Priestleya „Światło dzienne w sobotę” (Daylight on Saturday).

Ziliacus zatytułował jeden z rozdziałów swojej książki „Jak otumaniono partię pracy”. Mało jest prawdopodobne, aby to mogło się powtórzyć dzisiaj. Rozwój wypadków w Anglii sprawia, że droga Mac Donalda jest dla Bevinna — jeśliby naprawdę miał zamiar na nią wkroczyć — zamknięta. „Poprawki do mowy tronowej” zgłoszone przez grupę Crossmann — Ziliacus mają wszelkie szanse, by się przekształciły w „poprawki historyczne”, gdyż są wyrazem opinii najszerzych mas Labour Party.

Zwycięstwa republikanów w Stanach Zjednoczonych nie należy w sposób uprawniający tłumaczyć jako sukces reakcji. Było ono raczej wynikiem niezadowolenia z chwytnej polityki demokratów. Prawda, że rasizm amerykański, to nie wymysł propagandowy. Ale też prawdą jest, że od linczowania murzynów do pochodu Ku-Klux-Klanu na Waszyngton droga jest bardzo daleka. Tradycje wolnościowe i demokratyczne w Ameryce są nie tylko szczere, ale i głęboko zakorzenione.

Radykalizacji robotników, drobnych fermerów i zdemobilizowanych żołnierzy odpowiada ofensywna taktyka postępowych polityków. Wallace,

który objął kierownictwo znanego tygodnika politycznego „New Republic” realizuje zapowiedź walki o rooseveltofskie ideały. W jednym z artykułów stawia on przed partią demokratyczną alternatywę: albo nawrót do tradycji rooseveltofskich albo stworzenie trzeciej partii. O Związku Radzieckim czytamy w tym artykule słowa, które spotykaliśmy dotąd tylko w przemówieniach radzieckich mężów stanu i radzieckich profesorów prawa państwowego. Wallace mówi o systemie radzieckim, jak o... wyższej formie demokracji. Jest to nowość, która ma swoją wymowę.

Często wysuwa się argument, że między ustrojem kapitalistycznym, a socjalistycznym „musi” dojść do starcia, które skończy się zniszczeniem jednego z tych systemów. „Rozumowanie” to przywodzi na myśl film amerykański, wyświetlany w czasie wojny, którego tematem są wysiłki podejmowane dla ratowania pokoju przez ambasadora amerykańskiego w Moskwie, Davisa. W filmie jest kapitalna scena pierwszej wizyty Davisa na Kremlu. Davis wita się i rozpoczyna z zakłopotaniem:

— Ja jestem kapitalistą, panie Stalin.

— My wiemy o tem, panie Davis — brzmiała odpowiedź.

Kapitałisci Roosevelta pomogli Związkowi Radzieckiemu do osiągnięcia zwycięstwa — w chwili śmiertelnego niebezpieczeństwa. Nie ma żadnego powodu, aby między różnymi systemami społeczno-gospodarczymi nie ustalili się jakiś modus vivendi. Przemawia za tem nie tylko realny układ sił, lecz również istnienie systemów pośrednich.

Wszystko to upoważnia do wniosku, że kompromis w sprawie Triestu, porozumienie — wstępne co prawda, ale nie mniej cenne — w sprawie rozbiora oraz zerwanie stosunków dyplomatycznych z Hiszpanią faszystowską są pierwszymi zwiastunami trwałego pokoju. Być może, Labour Party będzie miała z czasem innych przywódców. Być może, głos Ziliacusa będzie wtedy głosem Anglii. Stanisław Ehrlich

ANDRZEJ STAWAR

TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY

Początki dwudziestolecia (V)

I.

BLISZE daty przełomów historycznych i daty przełomów literackich zbiegają się rzadko. Wydawało się, że to ma miejsce u nas po roku 1918. Razem z niepodległością weszło w życie nowe pokolenie wykazujące znaczną ilość młodych talentów, ujawniły się w tym okresie nowe prądy artystyczne. Zagranicą odgrzywały one pewną rolę przed pierwszą wojną światową, ale u nas siłą ekspansywną ujawniły dopiero po roku 1918. Co raz przychodził nowy „izm” domagający się uznania w imieniu własnej nowości. Dziś z perspektywy historycznej można powiedzieć, iż wpływ owych kierunków był mniej przełomowy niż zapowiadał ich leaderzy.

Nie będę przypominał sprzecznych pod wielu względami opinii, dezyderatów, pojawiających się w owym czasie pod adresem literatury. Warto jednak podkreślić dość powszechną wówczas tendencję, którą próbowano wyprowadzać ze zmiany warunków społeczno - państwowych w związku z niepodległością. Dotychczas powładano, literatura polska obciążona była specjalnymi obowiązkami w związku z brakiem państwowości polskiej. Literatura musiała być tendencyjna, musiała pełnić służbę narodową, podporządkowywać wymogi artystyczne względem ideowym — to się skończyło. Pisarze mogą, niezaprzętnie troskami ideowo - wychowawczymi, przystąpić do nieskrępowanego rozwijania wartości ściśle artystowskich, bezpieczni od nagabywań postronnych.

W tym stanowisku wyrażanym zresztą przez przedstawicieli różnych odłamów uderzało pewne uproszczenie. Nie można wyjaśniać tendencyjności dawnej literatu-

ry polskiej tylko przez brak państwowości. Literatury innych krajów, które posiadały byt państwowy, wykazywały ciśniecie potrzeb ideowo wychowawczych i społecznych w niemniejszym stopniu, a dawniej nie brakło u nas hasła zwolnienia literatury od nakazów społecznych w myśl kanonów czystego estetyzmu.

Analizując programowe oświadczenia grupy „Skamandra” Irzykowski wykazywał, iż w swej treści merytorycznej stanowiła one przepowiadanie zasad głoszonych w swoim czasie przez moderną krakowską czasów „Młodej Polski” i „Życia”. Hasła rzekomo wywołane nowymi warunkami po 1918 r. powtarzały w znacznej mierze tezy sprzed dwudziestu lat.

Postulaty odpolitycznienia czy odspolecznienia literatury i sztuki — rozwoju w kierunku estetyzmu czystego, stanowiły w istocie spadek po dawnej modernie. Pod tym względem niewielkie zachodziły różnice między kierunkiem, jak powiadano „pasełstycznym”, chlubiącym się nawiązywaniem do tradycji, a tym, który wychodząc od futuryzmu, usiłował te tradycje obalić i przeprowadzić kompletną rewolucję formalną w sztuce. I ci i tamci wywodzili się z podobnych tradycji filozoficznych, wyznaczonych przez środowisko społeczne — przyzwali wspólnie kryzys mieszczaństwa europejskiego zastrzyżony w związku z rewolucją rosyjską i zachwianiem się ustroju kapitalistycznego.

Właśnie te czasy po roku 1918 przyniosły największy przypływ kierunków antyracjonalistycznych, doprowadzenie ich do ostatecznych konsekwencji myślowych i artystycznych. W okresie poprzednim głoszone prymat intuicji nad rozumem, prymat artystycznego pojmowania życia nad

doktrynalnym, romantycznej postawy nad realistyczną - pozytywistyczną. Nowe kierunki szły dalej. Występowały one przeciwko wszelkiemu wogóle sensowi w sztuce, — niszczyły zdanie, tępiły samą możliwość treści logicznej, zawartej w zasadach składni.

Pojawiają się utwory złożone z samych słów, nie połączonych w zdania, utwory pozbawione wogóle słów w znaczeniu przyjętym — składające się z układów dźwiękowych, przypominających nieartykułowane naśpiewywanie dzieci. Trudno było pójść dalej. Antyracjonalizm doprowadzony został do najdalszych konsekwencji. Poeci nie zadawałnając się teoretycznym potępieniem rozumu w dotychczasowej postaci, zanurzają się w urok jakowegoś powrotu do niemowlęctwa umysłu, w naśladownictwo radosnego zachłystywania się życiem pozbawionego wszelkiej kontroli intelektualnej, a które stanowi właściwość wieku dziecięcego.

Sprawa ta posiadała zresztą różne aspekty. Ruch ten pociągał ludzi przeważnie intelektualnie wyrafinowanych, którzy w istniejących warunkach ten nawrót do prymitywu pojmowali raczej jako swoiste burzycielstwo, przyspieszanie zachodzącego rozkładu dotychczasowych wartości. Hasła głoszone przez część przeważną ówczesnej moderny zawierały apele do mas — dawnemu hasłu „sztuka dla sztuki” przeciwstawiano hasło: „sztuka na ulicę”. To miało bodaj stanowić intelektualne, złudne w istocie usprawiedliwienie nawrotu do prymitywu. Nie można też przejść do porządku nad niektórymi postępowymi rysami tej destrukcyjnej skłądni roboty, towarzyszącej rozkładowi starego świata wartości o swoistej logice tego procesu, świadczą

dalsza ewolucja wielu ówczesnych przedstawicieli awangardy.

Zresztą ta linia okazała się na dłuższą metę nie do utrzymania. Przejściowe uroki powrotu do prymitywu prawie niemożliwego, nie dawały możliwości przegaworzyć życia składającego się przecież z nie małej liczby dni i miesięcy. Po pierwszych krańcowościach bardziej umiarkowana linia reformatorów przeprowadza odwrót w kierunku eksperymentatorstwa formalnego. Zresztą zajęcie się rzeczywistymi lub tylko markowanymi poszukiwaniami laboratoryjnymi powodowało odciepienie się od odbiorcy masowego. Owcześnie długie jałowe spory o kwestie zrozumiałstwa, zainicjowane przez Irzykowskiego, wyjawiały w każdym razie brak komunikatywności, mówiąc po prostu warzenie się we własnym sosie.

Słabe strony ówczesnych tradycjonalistów i awangardystów uzupełniały się w jakiś sposób. W gruncie owe tendencje tak czy owak odwracały się od rzeczywistości społecznej. Zamknięcie się w profesjonalizmie artystowskim i jego problemach odpowiadało tendencjom konserwatywnym silnym w tych środowiskach, elementom chwiejnym zaś pozwalało się uchylić od podziału na obozy, pozostawać na stronie od walki. Obok złudnego blasku niezależności artystowskiej postawa taka dawała zresztą pewne korzyści natury praktycznej.

Podobnie jak w czasach młodopolskich postulaty odspolecznienia, odpolitycznienia literatury napotykały na ostre przeciwdziałanie. Rzecz dość znamienna — początkowo najsilniejszy odpór wyszedł ze

strony starszej generacji. Pomijając trafne w szczególach lecz ogólnie biorąc, dość bezkierunkowe uwagi Irzykowskiego, wystał przeciwko tym tendencjom naczelny przedstawiciel społecznikującej linii „Młodej Polski”, Żeromski. W broszurze „Sno-bizm i postęp” wytykał młodym poetom odejście od spraw społecznych oraz idące za tym wyjątkowe idee. W sposób wyraźny przeciwstawił temu stanowi rze-czy postawę ówczesnej młodej poczty so-wieckiej, akcentując jej żywy związek z problemami społecznymi kraju.

W broszurze Żeromskiego istniały oczy-wiście podziwki obrachunków starych i młodych — tradycyjne nieporozumienia pokoleń. Zwrócona w pierwszym rzędzie przeciwko awangardzie odsoniła ona, w bezwzględny sposób słabe strony nowej literatury. Przypominało to nieco atak Sienkiewicza przeciw „Młodej Polsce” przed laty dwudziestu. Ale jakaż różnica reakcji? Wystąpienie Sienkiewicza spotka-ło zażarty odpór ówczesnych młodych. Ich przedstawiciele odpowiedzeli gwałtowną kampanią przeciw staremu mistrzowi, któ-ry wyszedł z niej z mocno uszczuplonym autorytetem. Przeciwko zarzutom Żerom-skiego nie znalaziono poważniejszej odpo-wiedzi. Na dobrą sprawę nie było komu odpowiedzieć.

Przy całej ostentacyjnej burzliwości wy-stąpienia, obfitości manifestów, rozmach no-wej moderny już po paru latach okazał się żudny. Stworzyła ona ruch w poezji, gdzie istotnie pojawiła się znaczna ilość talen-tów, — natomiast nowa proza artystyczna przedstawiała się wręcz blado — nie było też teoretyków, którzy by dawali poważ-niejsze podstawy myślowe nowemu ruchowi. Kiedy próbowano to robić, powtarza-no nowymi słowami irracjonalne prawdy wysane z mlekiem mamek literackich po-koleń, dobrze już posędziwiałych na owe czasy. Mściła się tu owa wtórność przejawów, którą wykazywał w sposób zło-śliwie przekorny Karol Irzykowski.

Linia ideologiczna Żeromskiego w czar-sach młodopolskich była dość kręta, ale przy wszystkich swoich ustępstwach dla irracjonalizmów epoki zachował przecież dużo z wigoru intelektualnego, dawnych postępowców. Koniec jego kariery pisar-skiej nie wykazuje bynajmniej objawów schyłku — „Przedwiośnie” pozostało nie-wątpliwie najwybitniejszą powieścią poli-tyczną dwudziestolecia. Dając z wielką si-łą wyraz tradycji intelektualnej — nawet wielu przesądom środowiska inteligenc-kiego — odzwierciedla mimo wszystko no-we prądy społeczne, wskazuje na siły no-we, drążące stare społeczeństwo. Na to, nie zdobyli się przedstawiciele młodej lite-ratury owego czasu właśnie z racji swej izolacji od społeczeństwa, od jego żywych sił. Skazało to miało owe pokolenie na pe-wną średniość, co wyraził zresztą w spo-sób otwarty Jan Lechoń w wierszowanej polemice z Nowaczyńskim.

W ówczesnych sporach literackich zna-mienna jest pozycja wybitnych pisarzy po-przedniej generacji, którzy stanowili pe-wną frondę wobec linii głównej „Młodej Polski”. Ideologiczna słabość młodych stwarzała dla nich pewną koniunkturę, wystąpienia Irzykowskiego, Nowaczyńskie-go wpadały w pewne krańcowości, to pro-fekcyjne, to naciągane wobec nowych prądów i zjawisk, które pozostały im w isto-cie obce.

Formuła przejściowości niejednokrotnie była stosowana do tego okresu. W każ-dym razie najsilniejszy ruch, największy przynajmniej pozornie, impet przemian literackich zdaje się iść w kierunku nakre-słonym przez okres poprzedni, w kierun-ku biorąc ogólnie żudnym, prowadzącym do ślepych uliczek estetyzmu. Oficjalna linia literatury wykazuje tendencje odry-wania się od nowych potrzeb społecznych, bodaj ignorowania ich. W tych warun-kach wysuwa się na pierwszy plan siłą rzeczy linia boczna, uważana za podrzęd-ną. Przy całej obfitości nomenklatury i określeń przemiany rzeczywiste zachodzą-ce w społeczeństwie zachowały dla ideolo-gów ówczesnych charakter właściwie an-onimowy — gdyby zestawić z tym, co pisa-no, to co się odbywało naprawdę. Na porządku dziennym jest tendencja bronienia się przed tym co nowe, co zmusza nie tylko do rewizji pojęć, ale i zmiany usta-łonego trybu bytowania.

II.

Boy mógł uważać za przypadek to, że na początku roku 1919 znalazł się w foto-lu recenzentkim krakowskiego pisma konserwatywnego. Dla literatury to data wa-żna oczywiście nie dlatego, że zjawił się nowy Zoil, ferujący wyroki dla teatralne-go Krakowa, — zajęcie się teatrem stano-wiło wstęp do najważniejszego okresu działalności Boy'a. Pora zresztą była w Polsce taka, że wiele rzeczy się zmieniło, odnawiali się ludzie, zmieniali stanowiska, upadały stare autorytety, w oczach poja-wiały się nowe — wszystko to odbywało się w tempie nader szybkim, jak to się dzieje w ogóle w czasach przewrotu.

Przemiany społeczne oddziaływały na ludzi skądinąd „społecznie obojętnych”. Dla Boy'a jak i dla większości inteligencji fakt podstawowy stanowiła odbudowa państwa polskiego. Było to przełomem nie tylko politycznym, ale i społecznym, zmie-niającym sytuację setek tysięcy ludzi. Zmieniła się pod wielu względami sytuacja warstw inteligentek, która w najwięk-szej części ówczesnej Polski była od apa-ratu państwowego w czasach zaborów u-sunięta.

Państwo polskie zjawiło się w momen-cie największego przewrotu społecznego w dziejach Europy, co więcej zawiązało-ło przecież istnienie temu przewrotowi. Bez rewolucji w Rosji niepodległość Pol-ski pozostałaby przecież w sferze marzeń. A jednocześnie kierownicy spraw nowego państwa, które swój byt zawdzięczało re-wolucji, nie tylko przeciwstawili się prze-nikaniu przewrotu na własny teren, ale w skali międzynarodowej zawzięcie zwalczali rewolucję rosyjską.

Zwycięstwo reakcji społecznej w warun-kach ówczesnych, opanowanie żywiołów przewrotu społecznego, nie oznaczało przecież ich likwidacji, gdyż były one nieuchronnie związane w sposób orga-niczny z ustrojem, który zwyciężył, a ra-czej który zdołał się utrzymać. Fermenty społeczne szły dalej z niepowstrzymaną siłą. Ma to swoiste odbicie na terenie in-teligentkim.

W publicystyce ówczesnej zajmowano się niejednokrotnie ewolucją nastrojów wśród młodzieży inteligentek. Dwadzieścia-trzydzieści lat wcześniej wchodziła ona w życie (zwłaszcza w Kongresówce) w znacznej mierze pod wpływami rady-kalno - postępowymi, wolnomyślnymi, czę-sto socjalistycznymi. Właśnie w pierw-szych latach niepodległości to się zmieni-ło uderzająco. Młodzież uniwersytecka uważana niedawno za ostoję postępu, sta-je się awangardą zacofania i reakcji. Na-stępuje odwrót od ideałów wieku XIX, po-łepionego za czolowymi ideologami reak-cji jako „głupi” — od ideałów wolności, swobody sumienia, humanitaryzmu, nauki, ideałów postępu społecznego. Występuje na to miejsce zoologiczny nacjonalizm, klerykalizm, tendencje pogromowe w sto-sunkach do mniejszości narodowych, re-akcyjność społeczna.

Przewaga nastrojów prawicowych wśród młodej inteligencji stanowiła w pewnym okresie dla ideologów nacjonalistyczno - faszystowskich niezbitą prognozę na przy-szość — uważali, że mając „młode poko-lenie”, wchodzące w życie społeczne, po-siadają tym samym siłę, która niejako automatycznie zaprowadzi obóz do wła-dzy. Masowe demonstracje studenckie o charakterze prawicowym, strajki akade-mickie itp. wystąpienia w sposób efektow-ny zdawały się potwierdzać, że reakcja ma widoki na pełne opanowanie środowisk inteligentek. W istocie sprawy przedsta-wiały się bardziej skomplikowanie.

Dla istotnej wagi społecznej danego kie-runku niezawsze miarodajne jest rozpo-wszeczenie w t. zw. sferach oświeco-nych, ze względu choćby na klasowy cha-rakter, cenzuru oświecenia, w masie swej skłonnych do ulegania prądom konserwa-tywnym. Wagę istotną zdobywa się przez związek z realnymi potrzebami społeczny-mi czasu. Rzecz znamienna, reklamując stale panowanie nad umysłami młodzieży inteligentek w ciągu lat dwudziestu, kie-runki prawicowe nie potrafiły bynajmniej nadać swego piętna literaturze — prze-cież czasu było dość. Nie udało się to dla-tego, że w życiu społeczno - politycznym te ideologie prowadziły do reakcyjnych antykulturalnych utopii. Konserwatyzm

inteligentki prowadził do historycznych ślepych uliczek, — próby walki z nieunik-nionym biegiem rozwoju dziejowego pro-wadziły po prostu do jakiegoś samobój-czego wyniszczenia sił.

Mamy tu analogię z tym, co się działo w młodej literaturze — owe kierunki, któ-re najwięcej krzyczały o dynamizm, o przełomowym charakterze swych wystą-pień, trafiły w rezultacie do różnych śle-pych uliczek aspołecznego w istocie este-tyzmu. Zarówno w sferze ideologii i kul-tury jak i w sferze polityki wytworzyło to objawy głębokiego nieładu. Prądy, które w sposób ostentacyjny, brutalny pod-kreślały swoją krzepę i dynamikę, histo-rycznie biorąc też nie okazały się ani krzepkie, ani dynamiczne.

Przy wielu oznakach wskazujących, iż inteligencja idzie na prawo, odbywają się wśród niej interesujące procesy zróżnic-owania. Świadectwem tych procesów jest właśnie „Przedwiośnie”. Mimo wszelkie zastrzeżenia, Żeromski sięgnął w pewnym punkcie do sedna rzeczy. Uwydatnił zwią-zek między wewnętrznymi problemami społecznymi kraju a stosunkiem do tego, co się działo za wschodnią granicą, sto-sunkiem do rewolucji rosyjskiej — to co nurtowało w umysłach może nie najlicz-niejszej, ale najbardziej myślącej części młodzieży.

Dlatego powieść ta spotkała się z tak nienawistnym przyjęciem prawicy, stała się przedmiotem gwałtownej kampanii prasowej z tej strony. Posuwano się do pogroźek tak, iż Żeromski, człowiek stary i schorowany obawiał się w tym czasie nawet o własne bezpieczeństwo osobiste.

Żeromski został oczywiście oskarżony o sympatie dla bolszewizmu. Powieść wyra-żała raczej głęboki niepokój, pomieszanie i obawy. Ale Żeromskiego więcej przestra-szał impas społeczny oraz ideologiczny, w którym znalazła się współczesna Polska i co się uwydatniało w sytuacji młodzieży.

Mimo reklamowanych sukcesów prawi-cy na uniwersytetach — nastrojów reak-cyjnych, pogromowych, świeżych sukces-ów propagandy faszystowskiej, zapatrze-nia się we wzory Mussoliniego po jego świeżych zwycięstwach — powszechnego w tych kołach, procesy istotnie zachodzą-ce wśród inteligencji w dużej mierze oba-lały widoki prowadzących reakcji.

Nie wszystkie młodzieżowe elementy, za-czynające życie polityczne pod auspicjami prawicowymi, szły dalej tą drogą. Nasuwa się tu pewna analogia a zarazem kon-trast z wcześniejszą modą socjalistyczną wśród młodzieży. Niejeden działacz endec-ki i prawicowy zaczynał przecież od u-działu w organizacjach socjalistycznych, czy choćby sympatyzowania z nimi. Po roku 1918 mamy zjawisko odwrotne. Znaczną część działaczy kulturalnych lewicy ówczesnej stanowią ludzie, którzy wchodzili w życie społeczne, jako zwolen-nicy poglądów prawicowych, klerykali, an-tysemici, a później w toku dojrzewania myślowego, zmieniali stanowisko. Wskazu-je to na dalej sięgające zróżnicowanie w procesie dojrzewania elementów, które początkowo wyszły z prawicowej hodowli ideologicznej.

To też okres ten, wbrew wszystkim nie-korzystnym warunkom zewnętrznym, cen-zurze, przesładowaniom policyjnym itp. pozostaje pod znakiem pełnej ofensywy lewicy na terenie literacko - kulturalnym. Nim zdążyły przebrzmieć hasła odpolitycz-nienia, odsocjalizowania literatury, ujawnił się prąd stawiający problem polityczności literatury w sposób ostrzejszy, jaskrawszy, bardziej programowy, niż to robiono kie-dykolwiek dawniej. Prąd ten wówczas ochrzczono mianem literatury czy poezji proletariackiej. Jak wiele utartych okre-śleń nie odpowiadało ono rzeczywistości. Kierunek miał w znacznej mierze cechy radykalno - inteligentki, proletariackość w oświadczeniach jego niektórych przed-stawicieli miała charakter raczej postula-tywny. W istocie jego ekspansja ujawniła się przede wszystkim we wchłanianiu ele-mentów konstruktywnych ówczesnej „a-wangardy” artystycznej, które od wielo-stronnej a rozproszonych w swych obja-wach frondy wobec istniejącego porządku rzeczy, dochodziły do potrzeby nadania swemu sprzeciwowi kierunku politycznego, co wznosiło je do charakteru istotnej opo-zycji kulturalnej wobec panującego u-stroju.

Główna słabość owej literatury lewico-wej czy proletariackiej, jak ją nazywano, wynikała stąd, że jej wysiłek zasadniczy poszedł w kierunku ostrego politycznego wyodrębnienia, zaostrenia różnic. Zjawi-sko zrozumiałe skądinąd psychologicznie — chodziło tu o proces pewnego sam-outwierzenia się, odnalezienia gruntu własnego pod nogami, — zaciążyło skąd-inąd fatalnie na dalszej ekspansji grupy, zdradzającej pewne tendencje sekcjarstwa ideowo - organizacyjnego. W każdym ra-zie zaważyła ona na pewnej krystalizacji stosunków. Wprawdzie trzon pisarzy, uwa-żający się za centrum literatury, dalej chętnie podkreślał swoją ponadpartyjność, ale stanowiąc nadal obiekt oddziaływania, zmuszony był do naruszania zasad arty-stowskiej niepodległości wobec prądów społecznych, opuszczania, jak to się ongi mawiało, wieży z kości słoniowej, dekla-rowania, jeśli nie udziału czynnego, to przynajmniej sympatii intelektualnych dla jednej ze stron walczących. Los ten nie ominął w końcu żadnego z pisarzy owych czasów, nawet najbardziej przysięgających na artystowską niezależność i hołdujących estetyzmowi.

* * *

Omówiłem tu czynniki, które spowodowa-ły ujawnienie się podstawowych słabo-ści pokolenia literackiego, które wystąpi-ło po r. 1918. Błąkało się ono w waha-niach, poszukiwaniach, sprzecznościach. Próby ostentacyjnego neglizowania war-tości romantycznych niedawnej przeszło-ści utykały w powierzchowności i braku wewnętrznego przekonania. Przetrwały w znacznej mierze podstawowe kręgi pojęć, pozostawione nie tylko przez styl młodo-polski, ale późne objawy zdążającej za nim mody. Irracjonalizm, estetyzm, mar-twe pojmowanie specyfiki pracy literac-kiej, odgradzające od istotnych tendencji rozwojowych społeczeństwa, stanowiły niezaprzeczenie pożywkę dla nastrojów swoistej apartyjnej reakcyjności, które w czasie owym ujawniały się ze znaczną siłą.

Ogólnie biorąc literatura ówczesna by-ła zawieszona między niedosć przystoso-wanymi do warunków konkretnych postu-latami programowymi lewicy rewolucyj-nej, a w znacznej mierze martwymi tenden-cjami tradycjonalizmu, stanowiącego po-żywkę dla reakcji. To zresztą zachodziło nie tylko u nas, kryzys literatury profesjo-nalnej, kryzys form literackich, ich nie-przystosowanie do aktualnej treści spo-łecznej, stanowił tło konkretne, wiele ne-gatywistycznych, wypowiedianych niezaw-sze zrozumiałym językiem, postulatów awangardy. Halaśliwie, z napięciem, szur-kałi drogi do nowego typu czytelnika, no-wego typu odbiorcy wytworów artystycz-nych.

Podobnie jak w czasach młodopolskich Boy pozostał na uboczu sporów literac-kich. Bieżącej literaturze — poza recenzja-mi teatralnymi i sprawozdaniami — w o-góle poświęcał nie wiele uwagi. W jed-nym z nielicznych artykułów, zajmujących stanowisko wobec manifestów awangardy ówczesnej („Przyjacielu motorniczy tram-waju Nr 1”), zajmuje się sprawą nowego czytelnika, nowego odbiorcy wartości lite-rackich. W istnej powodzi ówczesnych no-winek i nowalljek ideowych i artystycz-nych ten problem zainteresował Boy'a przede wszystkim. Pewna ojeszałość w przemyśleniach, właściwość jego istic or-ganicznikowskiego usposobienia zdawała się graniczyć z pewną predylekcją do kon-serwatywności — w postawie Boy'a było prze-cież coś, co przewyżczało i tamto. Wyczu-cie potrzeb społecznych czasu zbliżało mł-mo wszystko Boy'a do awangardy. Jej poczy-naniem przyglądał się ze sceptyczną cieka-wością, ale bez kłótności, w którą noto-rycznie wpadał Irzykowski. Boy wbrew pozorom obojętności w stosunku do wy-darzeń i nowych prądów wykazał zdolność głębszego wnikięcia w sprawy nowe, któ-re zachodziły w związku ze zmianami u-kładu sił społecznych. Tutaj mamy jeden z istotnych elementów pozycji zajętej prze-zeń w literaturze dwudziestolecia. Nie w sformułowaniu — tych nie dobieżał i nie szukał — ale drogą czysto empiryczną realizował niejeden z pośród istotnych po-stulatów i potrzeb, podniesionych ale nie zaspokojonych przez awangardę.

JERZY PUTRAMENT

STRAJK W LACHOWICZACH*)

STAROSTA Kozłowski stracił w ostatnim miesiącu przeszło półtora kilo. Pierwszego tygodnia sto gramów po drugim już dwieście pięćdziesiąt, po trzecim prawie czterysta. Dziś z rana znowu się ważył: okrągłe sto osiemdziesiąt pięć deka mniej. Miał dokładną wagę aptekarską, stała w łazience.

Oczu, jak z ubytkiem ciała potęgują się w nim nagle oszłolomienia przed snem, serce zaczyna się rozrastać i uciska bok, w głowie szumy, ręce drżą i podpis staje się coraz bardziej nieczytelny. Widmo gruźlicy, które niegdyś, przed kilkunastu laty, nawiedziło go na uniwersytecie (powiększenie gruczołów), znowu zaczęło go nękać po snach. Przeklinał ciotkę Żurawską. Gdyby nie jej natrętna protekcja, zostałby w spokojnym notariacie i oczywiście nie byłoby żadnych historii z wagą.

A wszystko ten strajk. Po co przed rukiem wydawał Mejlachowi pozwolenie na otwarcie fabryki? Nie byłoby „Megumy”, nie byłoby strajku, nie byłoby utraty wagi. Nie daj Boże, jeszcze kio, a gorączka gotowa się pojawić. Dziś z rana trzydziści sześć i cztery. Może to z osłabienia?

Co ma robić? Województwo zwleka z instrukcjami. Tamci nie chcą czekać. Konferencja. To znaczy znowu dwugodzinne gadanie i dym, tykanie tego ohydneho dymu papierosowego. Poprzednim razem doprowadzili go do kaszlu.

— Panie starosto, przyszedł ci z fabryki.

— Ach, zaraz, dziękuję panu, panie Proszkowski, już idę.

— Gdzie pan spieszy? Mogą poczekać. To nawet lepiej.

— Panie naczelniku, powiedz pan, tak między nami, co byś pan zrobił?

— Ja? Phi!

— No, właśnie. Kto tu ma rację. Pan zna lepiej miejscowe stosunki...

— Kto ma rację? A co to nas obchodzi?

— No, jednak. Te żądania. Jak pan sądzi?

— Żądania! Kto im pozwolił żądać? Pan mnie pyta? Proszę: przede wszystkim stanowczość. Muszą wiedzieć, że tu jest władza. Pan wybaczy, panie starosto, ale pan jest czasem zbyt miękki. Niech się wygadają, to im wolno, ale jak skończą, pan stawia warunki. I koniec. Musi powstać taki nastrój, żeby się nikomu nie zachciało żadnych dyksut. Powiedziane — i szlus.

— Ale oni grożą strajkiem powszechnym. A pan wie, tego by mi w województwie nie darowali.

— Ach, groził! A policja?

— No?

— Aresztować prowadzących.

— Łatwo to panu mówić. A jeśli oni narobią wrzasku? Ja już nie wiem, nie rozumiem, tam, w Warszawie co dzień co innego. Zetazy, pan premier Kościłkowski pan minister Poniatowski. Głowę trzę. Wie pan, ubył mi półtora kilo.

— O, pan musi na siebie uważać. Pan się przemęcza.

— Tak, czuję to... Ach, co robić, służba dla Państwa.

Po kwadransie Proszkowski uznał, że już pana starostę można puścić do delegacji. Ale wtedy przyszedł Mejlach. Był to gruby niewysoki mężczyzna, z potężnym podbródkiem i podgardlem, dygocący z oburzenia. Starosta przyjął go lamentami:

— Panie, panie, coś pan narobił najlepszego!

— Co znaczy coś najlepszego? Panie starosto, albo jest prawo, albo nie. Ja mam fabrykę. Ja mogę sobie nie życzyć, żeby u mnie pracował jakiś Szpigiel, nie?

— Tak, tak, ale to można przecież było jakoś delikatniej.

— Ja bardzo przepraszam pana starostę. Ja się pytam: Jest prawo? Moja fabryka! Moja, Moja! Mo-ja! (walnął pięścią w pierś). Moja, a nie jakiegoś tam Szpigla czy Baranowickiego. To kto ma decydować, ja czy Szpigiel? Ja się tylko pytam.

— Panie dyrektorze, ja wiem, wiem, słyszałem już. Ale mnie o to chodzi. Pan ma rację. Zasadniczo. Ale formy, formy muszą być inne.

— Formy. Co znaczą formy? Ja nie chcę Szpigla. Czy to jest forma? Oni chcą podwyżki? Proszę, Mogę dać. No... no, niech mnie kosztuje. Pięć procent. I już. I żadnych Szpigłów. I już niech biora, bo jak nie, zamykam. Słowo honoru, zamykam fabrykę, wyjeżdżam. Ja sam się dziwię, czego tu jeszcze siedzę. Ja mogę robić gdzie indziej. W Warszawie, w Białymstoku. Po co mi ta dziura? Ja się pytam! Niech biora pięć procent. Niech stracę. Ja też jestem człowiek.

Mejlach nie chciał iść na konferencję.

— Ja nie mogę patrzeć na Szpigłów. Kiedy zobaczę jego... tę jego za przeproszeniem twarz, to mi się niedobrze robi. Ja później nie jem obiadu. Ja tu zaczekam. Pan starosta mi powie.

Delegacja składała się z trzech osób. Szpigla nie było. Widocznie pan dyrektor traktował to nazwisko metaforycznie. Przetaczny siedział u stołu opuściwszy głowę. Sypkie, jasne włosy zwisały mu aż do nosa. Malecki, sekretarz miejscowych zetazy, zaciął dumnie wargi. Do niedawna jeszcze był sekretarzem w gimnazjum i nie oswoił się jeszcze z rolą trybuna proletariackiego. Zaciśnięte wargi i zmarszczone brwi miały zrównoważyć jego pisarczykowskie okulary. Towarzysz Gawalek, delegat z centrali, czuł się w towarzystwie najswobodniej. Był to czterdziestoletni, krępy mężczyzna z niskim czołem, zadartym nosem i rudawą szczytką krótkich włosów. Siedział szeroko rozstawiony kolana i dłużył w nosie. Nieduże oczka powoli spacerowały po ścianach. Wejście starosty zupełnie go nie speszzyło. Natomiast Malecki od razu zgubił gdzieś swoją bantowniczą minę i odruchowo skoczył.

— Proszę, proszę, niech pan siedzi, panie...

— Malecki, sekretarz lachowickiej rady ZZZZ.

— Tak. Otóż, panowie... Tak, proszę, jakie są propozycje panów?

Przetaczny zerknął na tamtych. Malecki niespokojnie wiercił się na krześle. Gawalek siedział nieporuszony, ale palec z nosa wyjął. Mrugnął lewym okiem — że niby Przetaczny niech gada — założył nogę na nogę.

— Nasze warunki są znane — Przetaczny poccił się z wysiłku — 25 proc. podwyżki, przyjęcie usuniętych, uznanie związku...

— To wszystko?

— Tak. I jeszcze zapłata za dni strajku i usunięcie niektórych majstrów. Wawióry...

Starosta przez chwilę zbierał siły. Zależał, że nie było w pobliżu Proszkowskiego. Stanowczość!

— Tak. A teraz ja powiem. Otrzymaacie pięć procent. I od jutra do pracy. Tyle.

Chwilę trwało milczenie. Gawalek zaczął bujać nogą.

— A... a usunięcie? Związek — Przetacznemu zaczęło braknąć tchu.

— Żadnych związków! — starosta się rozgrzał. Zmieszanie tamtych odkryło mu własną potęgę. Stanowczość! Proszkowski miał rację.

Przetaczny chwycił powietrze. Zarząd! Co powiedzą tamci. Kuszel, Szpigiel, Mania! Coś się w nim zaczynało budzić.

Malecki wstał, przestał z nogi na nogę, ostrożnie:

— Panie starosto bardzo przepraszam, ale miejscowa Rada Zetazytów wzięła także pewną uchwałę...

— Wiec?

— W razie odrzucenia żądań robotników „Megumy”...

Pół minuty trwała niemrawa cisza. Przetaczny musiał dokończyć:

— Strajk powszechny.

Starosta skoczył:

— Żadnych strajków! Kategorycznie zabraniam!

Malecki zgarbił się i spuścił głowę.

— Właśnie, panie starosto, otóż to. Więc może jednak te postulaty...

Starosta zdążył już je zapomnieć. Zagubił się ostatecznie. Lypał bezradnie oczami i nagle wyskoczył z pokoju. Po dziesięciu minutach wrócił z Proszkowskim. Od razu od progu:

— Pięć procent. Żadnych związków, żadnych strajków.

Wtedy nareszcie odezwał się Gawalek. Miał mrukiwy, niski głos:

— Po pierwsze, gdzie pracodawca? Ustawa o arbitrażu co mówi? Po drugie wolność zrzeszania się i strajków jest prawnie zastrzeżona. Tu, widzę, nie znają się na obyczajach. Poszli.

Odwrocił się bez pożegnania, ramieniem walnął w drzwi. Przetaczny skoczył za nim. Malecki, bardzo zmieszany, dłużej, niż trzeba, szukał kapelusza, nareszcie podskoczył do wyjścia i grzecznie uklonił się staroście.

Ten z wyrzutem spojrzął w oczy Proszkowskiemu.

— Nic, głupstwo, zmobilizujemy policję.

Starosta chciał coś odpowiedzieć, ale w gardle uczył ostre drapanie i padł na krzesło, powalony krótkim, ale gwałtownym kaszlem. Przerazony przytknął do ust chusteczkę. Na szczęście, nie na niej nie było.

O wpół do ósmej kino „Rozkosz” było pełne. Po kwadransie przy wejściu zrobił się kłósty, męczący zator. U drzwi stało trzech chłopców z czerwonymi opaskami. Po jezdni spacerował samotny policjant podskubując melancholijnie wąsa. O ósmej miał się tu zacząć ogólnomiejski wiec w sprawie strajku powszechnego.

Straż porządkowa przepuściła mnie dopiero, gdy pokazałem skrawek papieru: zaimprovizowaną legitymację prawną „Rzeczywistość”. Długa, przysadzista sala wypchana była po brzegi. Z trudem przecisnąłem się o dwa, trzy rzędy i ugrzązłem. Skąpa linia żarówek oświetlała pięćset czupryn, łysin, herców i chustek. Gdzieś z tyłu zaczynała tupać, jakby naprawdę miał zacząć się seans filmowy.

Światło gaśnie i tylko płytka scena pozostaje oświetlona. Stoi tam stolik. Zza kulis wyskakuje Przetaczny. Robi się cicho.

— Towarzysze! Robotnicy „Megumy” strajkują już drugi miesiąc... — Przetaczny krzyczy, ma niłody, zapalczywy głos. Opowiada o przyczynach strajku, jego przebiegu, warunkach postawionych przez robotników, o zachowaniu Mejlacha. — Co mamy robić? Zaprzestać strajku?

Sala milczy. Ktoś obok mnie ciężko wzdycha.

— Zaprzestać strajku? Zgodzić się, aby dziesięciu naszych najlepszych towarzyszy, Kuszla, Baranowickiego, Kubiakównę i innych Mejlach wyrzucił z fabryki tylko dlatego, że zorganizowali związek zawodowy? Pewno wtedy łatwo będzie panu Mejlachowi robić z nami, co mu się spodoba. Wygodniej mu, gdy ma do czynienia z luźną grupą ludzi, a nie ze zorganizowanym robotnikiem. A my co? Pójdziemy na rękę panu Mejlachowi? Proponuje nam pięć procent podwyżki. I żadnych związków. I towarzyszy naszych — won. Przyjmijmy te warunki!

Sala milczy.

— Nie! — Przetaczny wrzasnął i stuknął kulakiem w stół. Wtedy dopiero, jakby pięćset ludzi razem zrobiło głęboki wdech. Okrzyki — „nie!” i oklaski.

— Nie! — Przetaczny nie czeka końca owacji. — Nie przyjmujemy. Nie chce-

my tej laski. Będziemy strajkować dalej aż do zwycięstwa!

Znowu oklaski.
— Ale, towarzysze, my z „Megumy” sami jedni — to jeszcze za mało. Strajkujemy drugi miesiąc, a Mejlach się nie poddaje. I dlatego zwolaliśmy dziś wszystkich, abyście uradzili, jak nam pomóc. Bo my wszyscy, robotnicy Lachowicz, mamy jednego wroga. Dziś nas zwycięży Mejlach, to się jutro do nas zbiorą wasi fabrykanci. — Przyszedł. Oklaski. Po chwili: — Przyjechał do nas delegat z naszej centrali, towarzysz Gawalek. — Zatrzymał się, ale na sali nie zrobiło to wrażenia. — Towarzysz Gawalek był dziś z nami na konferencji w starostwie. On się nie kępuje, wali prosto z mostu...

Sala się uśmiecha i zaczyna klaskać.

— Głos ma towarzysz Gawalek. Gawalek wyłaził zza kurtyny, zwolna podszedł do stolika, dwa razy charknął, spłunął, pogladził wasy.

— Więc znaczy się, towarzysze, będę mówił po prostu. Jestem stary robotnicarz i nie umiem zalewać. Dwadzieścia pięć lat walczę o interesy klasy robotniczej, to już, chwalić Boga, wiem, co trza i kiedy robić. Bywało się już w różnych kombinacjach i tak i owak, i tędy i owędy. Więc wiem. I jakim Gawalek, delegat centrali Związku Pracowników Przemysłu Chemicznego, mówię — dość! Ja wam powiadam, ja, Gawalek — dość! Dość się eksploatatorzy napili krwi robotniczej! Nie damy się! Psiakrew, cholera, co jest? Długo jeszcze będzie nas gnębić fabrykant? Nie! Nie długo. Ja, Gawalek, powiadam wam — nie! Nie damy się! Niech żyje solidarność robotnicza! Niech żyje strajk! Precz...

Okrzyki rzucał jeden po drugim odbijały się od sali wybuchami coraz to silniejszych oklasków. Ta narastająca fala zaczynała z kolei rozgrzewać Gawalka. Krzyczał teraz:

— Niech żyje walka klasowa! Precz z kapitałem! Niech żyje czerwona Hiszpania! Niech żyje rewolucyjny proletariatus Lachowicz!

Oklaski teraz wrzały. Gawalek już nie krzyczał. Stał rozstawivszy mocno nogi, kłaniał się jak śpiewak po arii za owacje. Potem podniósł rękę, sala stopniowo wracała do ciszy, ale już innej, podnieconej, radosnej i bojowej. Gawalek rozejrzył się po bokach i znowu zaczął. Wzywał wszystkich do strajku powszechnego na znak protestu. Aż do zwycięstwa.

Znowu buchnął szum, jeszcze większy. Występowali potem jeden po drugim przedstawiciele związków, kooperatyw, ich deklaracje o poparcie strajku jak pęki suchych, jałowcowych gałęzi tryskały, sypały snopami iskier i rozpały na chwilę do białości nastrój zebranych. Szczególnie wiwatowano po przemówieniu Maleckiego, który imieniem Zetazytów zapowiadał pełne poparcie strajku.

Pod koniec wyszedł Baranowicki. Sala była już tak rozpedzona, że po pierwszych jego słowach znowu zaczęła klaskać. Baranowicki mówił jednak dalej i w słowach jego musiało być coś osobliwego, bo nagle pierwsze rzędy umilkły, a za nimi na coraz to dalszych gasły okrzyki i ręce stygły w powietrzu. Po chwili stało się cicho.

— ...i w tej ważnej chwili nie możemy na to pozwolić. W szeregach robotniczych nie ma miejsca na łamistrajków! Urwał. Rozglądano się niespokojnie. Głowy kręciły się w lewo i w prawo, było bardzo cicho.

— Wśród nas, tu obecnych, są łamistrajki. Wzywam ich, aby opuścili salę! Sala się poruszyła. Zaczęły pelzać szepty.

— Gdzie, gdzie?
— Nie tutaj, czego się patrzysz?
— To tamten?
— To tam spod pieca.

Nikt nie wstawał, nie przepychał się do drzwi. Wszyscy oglądali się do tyłu, wracali do sceny wpartywali się w Branowickiego i znowu oglądali się, z

*) Fragment z mającej się ukazać nakładem Spółdz. Wydawn. „Czytelnik” powieści p.t. „Rzeczywistość”.

kierunku jego spojrzenia próbując odzyskiwać adresatów.

— Łamistrzejki, opuścić salę. Inaczej wywołam was po nazwisku!

Baranowski podniósł głos. Przede mną ludzie chwiliście, jakby powstał ostry i zimny wiatr. Ten i ów odruchowo wyciągał szyję, starał się ukryć za plecami sąsiadów.

Pięćset spojrzeń miotano się po sali, krzyżowało, wracało jak olbrzymie stado reflektorów rozcinając półmrok ostrymi klingami. I nagle ten chaos zaczął się klarować. Spojrzenia zaczęły się skupiać w jednym punkcie.

— Jurago, Wawiora! Wyprowadzić ich!

Sala warknęła jakby nagle spuszczone z smyczy. Czarne sylwetki poderwały się do góry, o pięć kroków przede mną wytrysły czyjeś ręce, ktoś krzyknął, krótki ten krzyk wsiąkł w zbierający szum sali.

Dostrzegłem nagle, że Baranowski coś krzyczy, a potem rzucił się ze sceny na widownię wzniosłszy ręce, jakby wpadał do wrzającej przepaści: „Nie bić! Doleciało echo jego wołania.

Jakieś potężne ruchy targnęły zbogwiskiem. Po chwili rozsunięto je na dwie strony.

— Odejdź, odejdź!

Jakiś młody, czerwony z wysiłku chłód piec cofał się tyłem w kierunku wyjścia rozpychając ludzi na strony. Za nim dwóch w czerwonych opaskach prowadziło pod ręce tamtych. Pierwszy, niski i zbiedzony, szedł jęcząc:

— Dajcie spokój, ludzie, to ja już nigdy, jak Boga kocham, ludzie...

— Stul pysk, Jurago!

To drugi. Był wyższy, piegawaty. Miał okrągłą twarz i wąski, prosty, ostry nos. Białe rzęsy pod biegającymi oczyma. Odstające uszy.

— Doczekacie się jeszcze, skurwysyny. Myślicie, że was nie znam?

— Milcz, bo ci...

— Ty, cholera, sam się doczekasz!

Szpaler twarzy miotał wyzwiska, a Wawiora szedł jakby się obliżywał. Miał opierzchle wargi, krzywił je w sztucznym nśmiechu.

Łamistrzejków wprowadzono, przegłosowano rezolucję strajku powszechnego (gesta szczecina rak) i Przetaczny wiec zamknął. Podniecona masa ludzka powoli spływała ku drzwiom.

Dzień strajku przypominał mi niedzięłą: puste płachty spuszczone żaluzji. Ziewnałem i poczułem głód. Za rogiem była kawiarnia. Poszedłem przedzej.

Ale kawiarnia była też zamknięta. „Ach, psiakrew, ten strajk! Obejrzałem się bezradnie. Gdzie tu można coś przegryźć? Staruszek w pognięcionym kapeluszu, stojący pod zamkniętą kawiarnią, na moje zapytanie wybuchnął:

— Gdzie można coś zjeść? Co się pan mnie pyta? Ich pan zapytaj, ich, ich!

— Kogo?

— Szpigła! Pan zna Szpigła? Uch! Kto jego nie zna? Ja go znam dobrze! Ja bym go wcale nie chciał znać!

— Czy pan prowadzi jakiś interes?

— Interes? Miałem interes! Co to dzisiaj interes? Przychodzi Szpigiel i każde zamykać. Dlaczego? Sobota dzisiaj! Jom-Kipur! I dlaczego Szpigiel? Skąd on taki starosta się znalazł? Pan chce jeść? Chodź pan ze mną.

Poprowadził mnie do zaułka. Dwa kołowe okienka, drzwi zamknięte na sztabę i lichy sztyldzik: „Kawiarnia Nowy Jork”. Wejście do tego Nowego Jorku nie należało do najmiłszych: przez małe, brudne podwórko ze śmietnikiem i upadającą ze znużenia „sławojka” szło się do kuchni, a stamtąd poprzez ciemny, wąski korytarzyk, jakiś składzik, jakiś pokój z dużym łóżkiem i szafa docierało się wreszcie do „sali”. Stały tu trzy stoliki i bufet. Drzwi od ulicy zamknięte i półprzymknięte okna dosyć ponuro zabarwiały ten niewymyślny pejzaż.

Staruszek wyciągnął kogoś z pokoiku i wydał dyspozycje. Musiałem czekać. Gospodarz uważał za stosowne bawić mnie rozmową.

— Ja panu coś powiem o Szpiglu. Pan jego zna? Uch, co to za człowiek! On przychodzi do Gincburżanki. Ona tu

pracuje. To on co do niej mówi? Pan myśli, że on jej mówi o... no, ja wiem, o słowikach? O... żeby na spacer? Że „ja cię kocham”? On jej mówi o walce klasowej! Co to jest walka klasowa? A on mówi, że pracodawcy i robotnicy, że Gincburżanka walczy ze mną. A ja z nią. Walczę. Pan rozumie? Ja jej nigdy palcem nie tknąłem. Ja walczę. Spójrz pan na mnie! Także coś! I w ogóle to jest okropny człowiek. Ja go kiedyś wyrzucę! Niech tylko się zjaw!

Ktoś stuknął drzwiami za kuchnią i znajomy głos zawołał:

— Mira, Mira, jesteś tu?

Drzwi się uchylły. Szpigiel we własnej osobie wsunął głowę wołając:

— Mira, chodź tu zaraz, mam ci coś do powiedzenia.

Ale Miry nie było. Szpigiel wszedł na salę, zobaczył mnie i nie wiadomo dlaczego, strasznie się zmieształ. Zaczął się gęsto tłumaczyć:

— Przeszedłem sprawdzić, jak się odbywa strajk. W moim rejonie wszystko idzie dobrze, tylko właśnie tacy, jak ten...

Staruszek oniemiał na widok Szpigła; teraz, widząc kształt tamtego skierowanego w moją stronę, przeraził się ostatecznie i chyłkiem czmychnął.

Naprzód coś tam ze Szpigłem przegryźliśmy i poszliśmy na „jego rejon”. Były to przeważnie niewielkie sklepy i liche jadłodajnie. Szpigiel świetnie się orientował w terenie i tubyleach. Nie dawał się zwieść beczynnemu zwieszonym żaluzjom, raz po raz zabiegał do sklepów od tyłu i kilkakrotnie doszły mnie przysłuszone odgłosy ostrych sprzeczek.

— Co to za ludzie! — oburzał się Szpigiel. — Powiada się im, że strajk. Strajk powszechny! To przecież trzeba zrozumieć! A oni byleby jeszcze sprzedać nici za sześćdziesiąt groszy. No i co im z tego przyjdzie? Sześć groszy na czysto. Sześć groszy!

Na ulicach było pustawo. Ludzie zwolna posuwali się chodnikami, korzystając z byle okazji, aby przystanąć, zagapić się na coś, przeczekać jeszcze kilkanaście minut tego dnia bardzo powolnego dla nich i zarazem pełnego nieokreślonych napięć. Przez rynek przeszło trzech chłopców w kaszkietach; mieli czerwone opaski na ramieniu i krok ich przebiegił przez ospałe szuranie nóg śródmiejskich, wyrazisty i dźwięczny jak werbel.

— Nasza straż porządkowa. Z odlewni „Benland”. Dobrzy chłopcy, tylko nie zawsze zdyscyplinowani. Wiecie, to nad zwyczajnie, jak się nam ten strajk udał. Całe miasto strajkuje. Nawet dorożkarze. Chodźmy do związku.

Ale do związku nie doszliśmy. Koło synagogi dopędził nas chudy, rudawy wyrostek. Widok Szpigła gwałtownie go zahamował:

— Prędzej, prędzej, na Zakasance się biją — wrzasnął — u Majehrowicza...

Minał nas i wpadł do związku. Szpigiel rzucił się naprzód. Biegliśmy przez kocie łby ulic, przesadzaliśmy kałuże. Po chwili minęło nas kilku rowerzystów z czerwonymi opaskami. Rozpędzone koła sypnęły przez kałuże i pokryły fantazyjnym deseniem w szare grochy nasze piaszeczki.

Zakasanka była daleko. Dobięliśmy do tartaku Majehrowicza zdyszani na amen.

— To rejon Ba—ra—no—wic—kie—go! — Szpigiel nie mógł odsapnąć — żeby... mu sze-go...

Rowery stały już przy bramie. Wpadliśmy do środka. Spęta sterty desek dochodziły wrzaski. Wybiegł stamtąd przysadzisty drab bez czapki, z rozdarta marynarką. Ujrzawszy nas, gwałtownie rzucił się w bok, między labirynty sążnistych desek i znikł.

Za stertą kołowało się dziesięciu mężczyzn. Z boku nad małą kałużą stał Baranowski i obojętnie spławał. Błoto u jego nóg zaczynało różniewić.

Nasze przybycie dokończyło bójkę. Czerwone opaski otoczyły przestraszonych bubków. Baranowski otarł chustką kąciek ust i... rozpoczął przemowę.

Były to łamistrzejki. Okazało się, że gdy robotnicy z tartaku nie przyszli z

rana do pracy, Majehrowicz zwerbował naprzód kilku ludzi bez „określnego zajęcia” i usiłował tartak uruchomić. W trakcie tego nadszedł Baranowski. Był sam i na jego apel do porzucenia pracy, łamistrzejki rzucili się na niego. Bito go długo, trwałoby to jeszcze dłużej gdyby nie najmłodszy z tej przygodnej ekipy, ów rudowłosy wyrostek, który — może przjęty słowami Baranowskiego — pobiegł do związku. Szybka pomoc rowerzystów uratowała Baranowskiego przed poważniejszymi konsekwencjami. Uznał, że teraz jest właśnie pora na dokończenie przerwanej przed pół godziną przemówienia.

Łamistrzejki patrzyli społem. Baranowski seplenił: bito go przeważnie po twarzy. Rowerzyści zwolna zaczęli się odsuwać — ich przecież nie dotyczyły jego płomienne apele o solidarność wszystkich robotników, oni i tak są solidarni. Ale Baranowski ciągle przemawiał.

Łamistrzejki zaczęli się wreszcie ruszać. Najślimiej poturbowany, siedzący dotąd na ziemi, wstał i burknął:

— No, pobiliście. No, wyrzuciliście. No i dosyć.

Ale Baranowski nie ustępował:

— Nie, towarzysze, nie o to chodzi. Możemy was wyrzucić z tartaku. Ale nie wyrzucimy. Trzeba, żebyście sami rozumieli, że łamiąc strajk powszechny czynicie szkodę i nam, i sobie samym. Walczymy o wasze interesy. Chodzi nam, żebyście świadomie, z własnej woli poszli sobie stąd...

— Morde mi nabili, to czego mam tu zostawać. A z tobą to się jeszcze spotkam. Chodźcie do cholery...

— Poczekajcie. Że was pobito, to nieporozumienie. Ale czy zrozumieliście, co do was mówiłem?

— A zrozumieliśmy, zrozumieliśmy, puście nas...

— Niech idą do wszystkich diabłów — rowerzystom znużono się to także. — Co tam z nimi dużo gadać.

Baranowski westchnął, puścił tamtych naprzód, wreszcie sam ruszył. Ale przy bramie wszyscy się zatrzymali. Stało tam czterech poilejantów z karabinami. Czerwony brzuchaty człowieczek kręcił się niespokojnie w miejscu.

— To ten, panie przodowniku! — wrzasnął urzawszy Baranowskiego. — Ten, ten. To on tu zrobił bójkę.

Policjanci skoczyli, w okamgnieniu uchwycili Baranowskiego pod ręce i półbiegiem rzucili się do bramy. Człowieczek w podskokach uwił się przy nich mlócać bez ustanku jęzorem.

— Tak, tak, to on. Przyszedł tutaj, kazał rzucić pracę, a jak moi robotnicy jak jeden mąż oświadczyli, że będą pracować, sprowadził bandę i wszystkich pobit...

Rowerzyści narazie się ruszyli i skoczyli za Baranowskim. Na ulicy podniósł się wrzask.

— Co jest? Puście go! Tych weźcie!

Przodownik z pozostałym policjantem rzucili się do bramy. Wypadliśmy i my. Przy tartaku stał tłum, otaczający policyjny samochodzik. Policjanci wpakowali śpiesznie Baranowskiego, odcinając się naprzód coraz gwałtowniejszym okrzykiem zbiegowiska:

— Puście go!

— Łamistrzejków weźcie!

— Ile wam Majcher zapłacił?

Majehrowicz nyszał swoje nazwisko i czmychnął czym prędzej do tartaku. Brama huknęła, zazgrzytał zamek. Przodownik usiłował zrazu się stawić, krzycał, żeby się rozeszli, że wezwie pomoc. Ale niebawem przycieli i tylko się przycisnęli do maszyny. Dopiero gdy wlaźł do środka, wyjął rewolwer i zaczął nim wymachiwać. Tłum napierał nie zważając na niego, z tylnych szeregów ktoś machnął ręką i boczna szyba samochodu się posypała. Motor zagrał, przodownik wstał i buchnął z rewolweru do góry. Ludzie sypnęli się na boki, maszyna ruszyła, pośpiesznie nabierając rozpędu. Krzyczano w ślad za nią, ciśnięto jeszcze parę kamieni. przodownik pogroził kutakiem.

— Ja bardzo przepraszam, chciałbym z panem porozmawiać. Mejlach jestem...

Urwał i z trwogą obserwował wrażenie, jakie wywoła to nazwisko. Gawalek mruknął coś nieartykułowanego. Mejlach przeczekał jeszcze chwilę i zaczął znówu:

— Ja wiem, ja bardzo dobrze wiem, że panu się nie chce ze mną rozmawiać. Ale przecież...

— Gadał pan, do cholery!

— Więc, pan rozumie... Ja bardzo źle na tym strajku wychodzę... ja i tak ledwo się trzymałem... No, ale myślę, że jednak... jakoś tak... A teraz, z tym powszechnym... Przyszli znajomi... Z browarów Papirmejster i Pupko Szapiro z tartaku, z młyna, z „Benlandu”... pan Majehrowicz... To oni tak mnie namyślali... Ja już nie mogę... oni mnie powiedzieli, żeby szedł do pana...

— A sam toś pan nie łaska pomyśleć! Uuuu!

— Co znaczy?

— Ach, durnie, gówniarze! Co to za miasto! Do jakiej cholery! Trzydzieści pięć lat w tym robię i nigdy takich ciamałów nie widziałem. O czym wy myślicie?

— Ja bardzo przepraszam...

— Nie przepraszaj, tylko pomyśl! — Gawalek skoczył bezdenna głupota rozmówcy poderwała go z łóżka. — Kim jesteś? Fabrykant. Kto jestem? Robotnik. Z kim walcysz? Ze mną. Z kim walcze? Z tobą. Z tobą, ty durniu zafajdany. To do kogo masz iść, jak ci waliki już potąd?

Mejlach wiercił masywnymi biodrami na brzęku krzesła, zdumienie szeroko rozwarło mu usta, dolna warga zwiśla aż na podbródek.

— No, czego się gapisz?

— Ja bardzo przepraszam...

— Jak złapiesz chorobę, to do kogo idziesz?

— Do... do doktora.

— Aha, właśnie! Do specjalisty, psia twoja mać!

— Ja bardzo... pan wybacz... Ja dotąd w innej branży. Przedstawicielstwo...

— Jak się nie znasz na rzeczy, to czego leziesz? Są mądrzejsi. Jak Boga kocham, pierwszy raz coś podobnego widzę. Trzydzieści pięć lat! Z Litronem, z Poznańskim, z Scheiblerem, ze wszystkimi walczyłem, z największymi, a biedy wiedział, co trza robić. A ten! Nie wiedział, biedaczku!

Mejlach nareszcie rozumiał. Poczul się pewniej.

— No już, no dobrze. Czego się gniewa? No, nie wiedziałem, trudno. A teraz wiem. Możemy porozmawiać spokojnie.

Gawalek kopnął jeszcze krzesło, splunął w kąt i usiadł na łóżku.

— Moi znajomi powiedzieli mi... że mi pomoga. Otóż nasze warunki;

— Aha, warunki...

— Od jutra spokój z tym strajkiem... Na dawnych warunkach... U mnie...

Gawalek znówu splunął i tamten przestraszony urwał.

— No!

— No, bo ze strajkiem powszechnym niemożliwe. Jeden dzień i dosyć...

— A pan myślał, że miesiąc. Mądry!

— U mnie bez tych Szpigłów. Bez związku. Dziesięć procent.

— A figę chcesz? — Gawalek się poderwał. — Co pan sobie myśli? Że to nie, że głupstwo? Miesiąc temu z tym do mnie przychodził. Dwa miesiące. Nim się to wszystko pokiełbało. A teraz do widzenia!

— Co jest?

— To jest! Uparł się głupi, tamci mu strajk, on nie, tamci mu powszechny, on nie, dopiero przyjaciele musieli mu poradzić. Gównu, nie z tego nie będzie.

— Panie Gawalek, pan musi zrozumieć, Szpigiel...

— Nie nie rozumiem, koniec. Nie umia iść się zabrać do rzeczy, to teraz słuchaj, co ci mądrzejszy powie.

— Pan wybacz, ale te warunki... bez tego w żaden sposób...

— Warunki! Przed powszechnym trza było! Myślisz, że powszechny to

glupstwo? To potężna broń w ręku klasy robotniczej. Jak do tego doszło, to się sianem nie wykrecisz. Skończono! Przyjaciu wyrzuconych, związek znać, dwadzieścia procent!

Mejlach rozłożył ręce, smutnie popatrzył w oczy Gawalekowi i wstał. Gawalek siedział nieporuszony. Tamten bardzo długo zamykał drzwi, odszedł o krok, chwile stał. W numerze było cicho. Mejlach westchnął i wrócił.

— Panie Gawalek, ja się bardzo dziwię. Po co związek?

— Związek zawodowy? Chciałbyś, bratku, bez niego. Nie ma głupich!

— Nie, doprawdy?

— A co ty sobie myślisz? Że klasa robotnicza ma zostać bezbronna? Figa! Związek będzie.

— Po co to panu?

— A co ty sobie myślisz? Że dam się wykiwać? Nie wyjdzie! Trzydzieści pięć lat walcze. Już ja wiem, jak to się robi. Póki gorąco — „Panie Gawalek, będzie pan laskaw”. A jak ostygnie, adiu Fruziu! Co? Figa!

— Panie Gawalek, o co się pan boi? Że ja, że my zapomnimy?

— Panie Mejlach, a pan się o co boi? Że ja zapomnę?

— Przetaczny...

— Tu będzie Przetaczny, a tam ja!

— No, niech będzie, niech stracę. Ale Szpigla...

— Wszystkich przyjmiesz!

— Ja się panu bardzo dziwię. Szpi-

giel... to przecież komuniści, nie wie pan?

Gawalek skoczył, był naprawdę wściekły. Walnął pięścią w stół, kopnął to samo nieszczęśliwe krzesło i charknął tak potężnie, że przerażony Mejlach bezwładnie potoczył się do drzwi.

— Durniu, durniu, durniu! Sledzie tobie sprzedawać, a nie w fabrykanta się bawić. Jeden i drugi! Idioty! O czym on myśli? Za co pieniądze rządowe bierze? A ty? Z czym do mnie przychodzisz? Po co mi to mówisz? Kto ja jestem? Delegat klasy robotniczej czy komendant policji? Bałwan! Do starosty chodzić potrafisz, a o czym z nim mówić, to już nie!

Mejlach stanął. Potężny wysiłek myślowy przeorał mu twarz dziwnym grymasem. Gawalek pisał się i puł na niego najgorszymi wyzwiskami.

Na szczęście ktoś w tej chwili zapukał. Gawalek gwałtownie wepchnął Mejlacha do szafy i wyszedł. Po minucie wrócił, wypuścił go z pogardliwym spokojem.

— Ładne rzeczy! To tyś mnie chciał sypnąć, co? Cha, cha, cha! Anegdota!

Mejlach zużył wiele energii na przekonanie Gawaleka, że to nieporozumienie.

— Ja myślę! Mnie aersztować! Słyszał kto coś podobnego? Nie, brachu, dużo głupstw narobił, ale twoje szczęście, żeś do tego nie doszedł. Wtedy byś dopiero miał się z pyszna.

Mejlach także się zaśmiał. Był to śmiech dosyć szczerzy. Burzliwa dyskusja wiele go nauczyła. Przede wszystkim ocenił należyte Gawalka. Mądrość i doświadczenie tego gburowanego człowieka były ponad wszelkie wątpliwości. Mejlach odczuł, jak przyjemnie jest mieć do czynienia z ludźmi rozumnymi.

— Tak jest, panie Gawalek. Związek jest, wyrzuconych przyjmuje, piętnaście procent.

— Niech ci będzie piętnaście. Ale słuchaj. Jesteś głupi, ale starosta nie lepszy od ciebie. Musisz z nimi to załatwić. Rozumiesz?

Mejlach zrozumiał. Gawalek wstał i Mejlach poczuł się nieswojo jak przy końcu wizyty u znakomitego doktora czy adwokata. Kwestia... pożegnania.

Podeszli pod drzwi. Mejlach spojrzął w oczy Gawalekowi tkliwie i pytająco. Odbyła się krótka pantomina. W drzwiach Gawalek klapnął Mejlacha po ramieniu:

— Ech, ty! No, nie, na starość trzeba się czytać. Aha, mało, a byłbym zapomniany. Wróć się do starostwa, to idź do Przetaczego. Nie ja mu przecież to powiem.

— A pan?

— Nie bój się, będę przy tym. I żeby cię tu kto nie zobaczył.

— Ja tylnym wejściem. Mnie tu znała.

Gawalek wyszedł do miasta zmęczony, ale rozpozgodzony. Niepojęte lacho-

wickie komplikacje klarowały się i przybierały znajome, swojskie kształty.

Na chodnikach snuły się czarne czeredy ludzi i Gawalkowi przyjemnie było słyszeć, jak półszepem, z czeią i po dziwem wymieniają za plecami jego nazwisko.

Zaszedł do Maleckiego. Ten wrócił ze starostwa zielony jak po gwałtownych wymiotach. Ręce mu dygotały, gdy opowiadał o przyjęciu, jakie mu zgotował wice-starosta Proszkowski. Kozłowskiego wezwano do województwa, pewnie nie wróci. Malecki ze zgrozą mówił o tym, co go czeka za strajk. Za ścianą pochlipywała żona.

Gawalek pocieszał Maleckiego, jak umiał. Nie czuł jednak do niego sympatii. Nie lubił tchórzów. Ci z Zetsetów to w ogóle prorządowe fagasy. No, ale cóż, biedny człowiek. Zabrał go ze sobą do Przetaczego.

Przetaczemu kazał zawołać aktywistów, żeby się rozmówić co do planu działań na jutro.

Gdy późnym wieczorem do związku przybył Mejlach, pokoik obok zarządu huczał, podniecony i bojowy. Opowiadano o poszczególnych epizodach tego zdumiewającego dnia. Komentowano zwłaszcza aresztowanie Baranowickiego. Gawalek więc tę przyjaźń głębokim westchnieniem. Ha, trudno! Gdzie drwa rąbia...

Jerzy Putrament

STEFAN ŻÓLKIEWSKI

Ze wspomnień polskiego inteligenta

I. NAPRZECIW INTELIGENCJI

Był zmrok. Szliśmy ulicą Marszałkowską — tej dawnej Warszawy — moich wczesnych lat uniwersyteckich. Po codziennej bibliotece. Czytało się wtedy książki ostatniego pokolenia kantystów, konwencjonalistyczną krytykę poznania i nauki. Zabawnie i subtelnie fałszywe książki Poimcarégo.

„Gdybym mógł akceptować marksowski realizm poznawczy — nie byłoby mi już bajniej trudno przyjąć komunistyczne stanowisko polityczne” usprawiedliwałem się atakującemu Władkowi. Uśmiechnął się. Miał rację. Wtedy nie wiedziałem, że zajmując stanowisko polityczne jest właśnie najtrudniej. Władek zresztą rozumiał moją troskę. Umiał uszanować subiektywne zdziwienie, że pierwszeństwo mają w rzeczywistym życiu ludzkim decyzje teoretyczne i one to formują stanowisko polityczne. Dobrze rozumiał, że muszę tak szukać i tylko tak mogę. Bez rozwijania problemów epistemologicznych nie pójść naprzód. Władek znał ludzi wśród których żył i pracował. Chociaż był inny. Wiedział: trzeba umieć wyjść naprzeciw inteligencji. Zagadnienie sojuszu robotniczo-inteligenckiego w naszym kraju dziś jeszcze całkowicie nie jest rozwiązane. Jest to ciągle jeszcze zadanie do urzeczywistnienia. Dlatego też życiorys tow. Władka to studium osiągnięć i błędów, studium techniki „roboty inteligentkiej”. Proces wiązania środowisk inteligentnych z ruchem robotniczym ma obok swojej techniki własną treść ideową, własne drogi, dzieli się na taktyczne etapy, a wreszcie w rzeczywistości naszej określona funkcja społeczna i sens kulturalny, pozostaje w określonym stosunku do tradycji, teraźniejszości i przyszłości kultury polskiej.

Te wszystkie szczegółowe zagadnienia najplastyczniej dadzą się poznać, rozważyć i osądzić na materiale konkretnej działalności.

Nie podejmuję tu naukowej biografii. Był... świadkiem, sięgam do swoich wspomnień. Wiele faktów pomnę, pomnę całe okresy. Nie zawsze towarzyszyłem memu bohaterowi. O tym czego nie widziałem — tylko wspomnę. To co przeżyłem opowiem i zanalizuję. Zastrzegam sobie prawo swobody. Ponieważ w Krakowie mówią, że tak czy tak, nie jestem niczym innym jak sejmikującym polskim szlachciurą saskich czasów — pójdę za głosem natury i te sprawy najmłodszego pokolenia radykałów polskich zamknę w luźną i nieporządną formę gawędy szlacheckiej.

Tak będzie łatwiej i mnie i Wam, drodzy czytelnicy.

To oczywiście pociągnie za sobą znaczne niedogodności. Ostre światło padnie na jednostkę, której indywidualny wkład liczyć się może tylko dlatego, że była jedną z wielu. I to nie w tym znaczeniu, że była członkiem ruchu. To ważne, ale nie jedyne. Także bowiem dlatego, że obok niej było sporo innych indywidualności, działaczy równie tętnących, czasem o zasługach, talencie, wynikach pracy znacznie doskonalszych.

Trudno przecież oprzeć się chęci pisania o człowieku, o konkretnym człowieku.

Właśnie, aby uwidatnić jak moment dziejowy powołuje do życia ten potrzebny rodzaj wyróżniającej się jednostki. A z drugiej strony, aby pokazać co znaczy w procesach społecznych człowiek, jego osobista psychiczna postać.

„Zrozumiałem, że naruszam pewną konwencję, pisze o kimś żyjącym i młodym. O pisarzu

i mówcy, pośle do KRN, o byłym viceministrze oświaty i działaczu partyjnym: Władysławie Bieńkowskim. Wahalem się, czy nie oznaczyć go poprostu literami N. N., które by pozwoliły widzieć w nim to — czym był — o czym się tu będzie pisało w istocie: określony, właściwy tej dobie typ działacza. Zdecydowałem się przeciw nazwac go i proszę mi wybaczyć zuchwałstwo. Za dużo się dziś posługuję fikcyjnymi postaciami. A tu chodzi o żywych ludzi, o rzeczywiste sprawy.

Nie piszę tego z „potrzeby duszy”. Stoimy w obliczu Wyborów. Szereg działaczy lewicowych — inteligentów kandyduje na posłów. Wybrani mają reprezentować w sejmie inteligentów — wyborców. Myślę, że wyborcy powinni jak najdokładniej wiedzieć kogo wybierają. Nie starczy kierować się tylko numerem listy wyborczej. Mój bohater jest właśnie kandydatem na posła. Dlaczego jednak spośród wielu działaczy wybrałem właśnie tę postać? Oczywiście jest to w dużej mierze sprawa przypadku. Nie da się napisać o wszystkich — tak jakby należało. Bo nie pozwalają na to warunki techniczne. Bohatera mego znałem, stąd o nim, a nie o kimś innym mogę pisać.

Jego przymiotem była w analizowanych zdziwieniach, jego osobisty udział w kształtowaniu się dróg nowego inteligentnego radykalizmu szczególnie nadaje się do wyzyskania dla jasności wykładu. To był bowiem typowy działacz, animator, organizator. Człowiek bardziej od innych wszechstronny, o różnokierunkowych zainteresowaniach. Bardziej od innych nadający się do powiązania z jego życiorysem bardzo różnych dziedzin życia, działalności i myśli. Prześledzenie jego funkcji daje więcej, niż badanie wpływu nawet bardzo twórczych jego rówieśników: pisarzy, nowatorów — uczonych itp.

Stawiam tezę, iż nasze pokolenie wydało nowy i dla naszej doby pozytywny typ działacza inteligentnego. Kreślę drogę jego rozwoju i drogę jego działania. Żywy człowiek jest tu dla mnie przykładem, argumentem. Jego indywidualne prace młodości nie miały zasięgu ogólnokrajowego, przeciwnie zamykały się w wąskim kręgu lokalnego, młodzieżowego środowiska, ale suma takich prac jego i wszystkich jemu podobnych w innych środowiskach dała wynik już ogólny — społeczny: kadry nowego pokolenia radykalnej inteligencji polskiej. Bohater mój we wszystkich niżej opisanych pracach uczestniczył, jest w nim jego indywidualny wkład — to jest zgodne z prawdą historyczną. Prace te, przeciwnie na pewno nie byłyby urzeczywistnione, gdyby on był jeden. Ale też nie zostałyby urzeczywistnione również, gdyby ci inni współtwórcy nie zblizali się do tego nowego typu działacza, który on reprezentuje.

Czy w sposób najdoskonalszy, najbardziej typowy? Nie wiem, napewno natomiast w sposób najlepiej mnie znany. I nie o to chodzi czy robił swoje bez zarzutu, a raczej o to jaki nowy typ kulturalny — lepiej czy gorzej — urzeczywistnił jego działalność.

Rozejrzymy się w tym materiale.

II. GENEALOGIA

Nie zawsze historia pozwala lekceważyć pochodzenie.

Na ziemiach położonych na wschód od Elby, jak wyraził się kiedyś Marks, nadając temu terenowi historyczną jedność, lata

po roku 1905 były najtragiczniejszymi w dziejach tamtejszej inteligencji. Związki inteligencji postępowej z ruchem robotniczym przed tą datą były o wiele ściślejsze. Potem przyszły smutne czasy małego tchórzostwa i nierozwagi. Próbowano zobjektywizować całkiem subiektywne poczucie samotności współczesnej inteligencji. Pamiętam jak bardzo reprezentatywny dla tej doby Kazimierz Zakrzewski pisał o obiektywnej, zasadniczej odrębności grupowej inteligencji, którą wyróżnia to, iż stanowi zespół bezinteresownych twórców kultury, stojący poza konfliktami społecznymi, określanymi i różnicowanymi tylko przez stosunek do autonomicznych, szczególnych konfliktów kulturowych. Inteligent mógł rzekomo być spirytualistą lub materialistą, futurystą lub passelistą — nigdy postępowcem czy wsteczniakiem w podstawowym politycznym i społecznym znaczeniu tych pojęć. Ruch robotniczy także zmienił się, rozwinął, nabrał swoistych cech, które wnieśli ideolodzy wyrosli z klasy, która była jego własną bazą społeczną. Bardziej inteligentem językiem pisał Marx niż Lenin i Stalin. Ruch robotniczy stawał się coraz trudniejszy dla inteligencji. Drogi rozchodziły się i coraz rzadziej zjawiali się działacze typu Waryńskiego. Gdy tacy Abramowscy jeszcze jakoś mieścili się w ruchu postępowym, pozostawali wierni proletariatu, stanowisko de Manów stawało się jawną zdradą ideową i wreszcie w godzinę próby zdradą polityczną. Teoretycznie nie da się wykluczyć możliwości narodzin w środowisku inteligentnym pionierów ruchu włączenia inteligencji do szeregów walczącej klasy robotników najemnych. W praktyce jednak prawdziwie konsekwentni pionierzy tego ruchu po 1905 pochodzili raczej z klasy robotniczej. Tylko oni bowiem nie byli obciążeni tradycją wszystkich błędów i rozterek inteligentnych, ile ich tam przybywało co rok począwszy od daty rewolucji, ostatniej miśszczańskiej i jednocześnie pierwszej proletariackiej.

A takich działaczy robotniczego pochodzenia nie mogło być wielu. Szkoła tych czasów zbyt wyłącznie była narzędziem klasowej selekcji. Robotniczy syn bywał zbyt rzadkim gościem w inteligentkiej twierdzy: na uniwersytecie. A to była właściwa pozycja wypadowa. Kto zaś się tam przypadkiem dostał, najczęściej bywał już do gruntu zepsuty filantropia.

Takich jak Bieńkowski dostrzegało się zaraz. Byli ogniskiem skupiającym postępowe pragnienia i przecucia młodej inteligencji.

Władysław Bieńkowski urodził się na początku XX w. w Łodzi, w rodzinie robotnika-włókniarza. Jak większość proletariatu polskiego ludzie ci w pierwszym pokoleniu wyszli ze wsi. Starzy Bieńkowsy utrzymywali ciągle jeszcze żywotną łączność ze swoją wsią kujawską. Periodyczne kryzysy schyłku kapitalizmu w latach międzywojennych — przynosiły ze sobą periodyczne okresy bezrobocia i nędzy proletariatu łódzkiego. Wtedy wychodzący ze wsi szukali znów oparcia w rodzinach siedzących na kujawskich morgach. Posyłało się tam dzieci w ciężki czas wojny, aby jakoś przeżyły te lata przy pasjonie. Pasał wtedy bydo i Władysław Bieńkowski. Związki proletariatu łódzkiego ze zróżnicowaną, obciążoną feudalnymi relikami warstwą chłopską — osłabiały jego świadomość klasową.

Stary windziarz u Geyera pamiętał jeszcze czasy pańszczyzny. Chwalił je sobie bardzo. Z lubością opowiadał jak pracowali na pańskim, jak przy żniwach trzeba było pośpiesznie sprzątać, pracując bez wytchnienia długo po zachodzie słońca. Ale dodawał „każdy potem dostał kieliszek wódki, a dzieciaki czapkę śliwek”. U Bieńkowskich przecież ojciec miał zwyczaj opowiadać o starym windziarzu, jako o przykładzie wyjątkowej naiwności, o człowieku, któremu upiększająca mgła wspomnień zamazała właściwe proporcje wartości codziennej harówki na cudzym i śmieszego na wsi wynagrodzenia: paru śliwek.

Stary Bieńkowski — antyklerykał, klasowo uświadomiony, w pełni wykorzystywał szkołę walk łódzkiego proletariatu. U niego w domu pojmowało się świat społeczny zgodnie z jego rzeczywistością klasową, antagonistyczną strukturą.

Historia lat międzywojennych — to historia kryzysu kapitalizmu, niejednoczony ruch robotniczy nie tylko nie jest w stanie wykorzystać okresów osłabienia reakcji, co gorzej sam słabnie pod obuchem periodycznych, wydrzynających ekonomicznie kryzysów. Odwrotnie, klasy posiadające w warunkach silnej koncentracji kapitału (zwłaszcza finansowego), przez ulę personalną kierowników państwa i gospodarki przekształcają ustrój państwowy w narzędzie o wiele skutoczniejszego gwałtu i ujarzmienia mas niż dotąd. Rodzi się i dojrzewa faszizm. Młodzież to było pokolenie, jak pisał kiedyś Czarnowski, urodzonych bezrobotnych, z głębokim urazem niepotrzebności, ludzi marginesowych, których przeznaczeniem będzie często w latach 30 pójść na służbę przemocy, w szeregi bojówek faszystowskich, do ONR-u.

Awans społeczny był w tych latach sprawą zupełnego przypadku. Przypadek zdecydował, że Władysław Bieńkowski do 15 roku życia na wsi jako parobek, mógł pójść do gimnazjum. Najmłodsze lata już przeszły. Tylko zdolności i upór zadecydowały, iż chłopak, który wrócił do miasta prosto od cepów i widel, przygotował się i zdał egzamin do piątej gimnazjalnej. W roku zamachu majowego dostaje maturę. Przenosi się na uniwersytet warszawski. Studiuje, oczywiście sam na siebie pracując. I wtedy zaczyna się walka o utworzenie nowej drogi inteligencji polskiej. To traci nieco przesadę. Ale tak było. Pozwólcie mi przypomnieć i udowodnić.

III. UNIwersYTET

Problemy światopoglądowe w świadomości inteligencji, zwłaszcza tej o wysokich, uniwersyteckich kwalifikacjach zawodowych, dominują nawet nad problemami politycznymi. Bo też światopogląd jest dla pisarza, nauczyciela, prawnika właściwie narzędziem pracy, narzędziem bezpośrednio charakteryzującym jego życie społeczne, jest elementem konstytutywnym dla treści i nawet techniki jego działalności. W środowisku uniwersyteckim całkiem naturalnie sprawy chronologicznie i logicznie wysuwały się na pierwszy plan.

Władysław Bieńkowski studiował na wydziale humanistycznym, początkowo interesował się szczególnie filozofią i literaturą polską, u schyłku swych studiów przesunął swe zainteresowania ku historii i filozofii.

Koło roku 1926 sytuacja umysłowa naszych uniwersytetów była inna niż w 1946, inna niż w 1936.

Dziesięciolecie 1926—1936 jest w historii umysłowej naszej inteligencji okresem ostającego pokonywania światopoglądu pozytywistycznego. Literatura nasza weszła wcześniej na tę drogę, Myśl, także myśl naukowa humanistyczna, była bardziej opóźniona. Było to opóźnienie nie tylko w stosunku do przemian naszej sztuki, ale i w stosunku do przemian humanistyki europejskiej na progu XX w. Aby stwierdzić trafność wyboru tych lat granicznych wystarczy rozpatrzeć twórczość każdego wybitniejszego humanisty tamtych czasów. Profesorem Bienkowskiego był polonista Józef Ujejski, badacz romantyzmu polskiego. Jego książka z roku 1924 o Konradzie Wallenrodzie, wraz ze swoim programowym wstępem mówi jeszcze o zupełnej dominacji pozytywistycznej filozofii kultury, pozytywistycznego światopoglądu. Ujejski problematykę dynamiki kultury, decydującą dla różnicowania światopoglądów i systemów filozofii kultury, świadomie ogranicza do stwierdzania podobieństw wytworów kulturowych, z którymi jednostka jako organizm mogła się stykać fizycznie i wytworów przypisywanych danej jednostce, aby wiedzieć jak przeżyła determinowały czynności tej jednostki, czynności utrwalone w badanych wytworach. I tak ten fragment problematyki, dynamiki literatury polskiej, który dotyczył powstania „Konrada Wallenroda”, dał się wyjaśnić naukowo dostatecznie przez stwierdzenie: a) realnych podobieństw między tym dziełem a określonymi pismami Byrona oraz b) życiowego faktu, iż Mickiewicz mógł znać i znał pisma Byrona. Jednym słowem wystarczających naukowych odpowiedzi szukano w tzw. wpływole. Co z rzeczywistości kulturalnej nie mieściło się w ramach tej koncepcji interpretacyjnej było tym samym pozornym, nienaukowym problemem. Stąd lekceważenie w kołach oficjalnej nauki antypozytywistycznej problematyki krytyków i impresjonistów, walczących z pozytywizmem na marginesie nauki i literatury, która się wcześniej uporała z tym upiorem. Stąd i niezauważony urok tych niechlujnych pisarzy u młodzieży ówczesnej. Zaczęły się wyjawiać polemiki i Matuszewskimi. Ależ to też naszkicowana wyżej problematyka dynamiki kultury była wyjątkowo ciasna i jałowa. Dziś dobrze zdajemy sobie już sprawę jak mało może dominowana treść przeżyć oderwanych jednostek wyjaśnić nam procesy przemian kultury począwszy od przemian stylów artystycznych a skończywszy na przemianach ustrojów społecznych. Zrozumienie prawdy, że prawa psychiki nie są prawami kultury, że temperament jednostki nie może zdeterminować stylu, treści i typu faktów kulturowych — torowało sobie drogę w ciągu tych dziesięciu lat polskiej historii umysłowej. Książka tegoż Ujejskiego o mesjanizmie polskim napisana w dziesięć lat po cytowanej rozprawie o Konradzie Wallenrodzie jest tego wymownym świadectwem. Wyrosła cała z koncepcji antypozytywistycznej. To negatywne określenie jest najlepsze. Prace tego typu posiadają bowiem wszystkie błędy i przejawskawienia wyrosłe z pasji negacji i chęci przeciwstawiania się przede wszystkim zwalczanemu kierunkowi kultury. Książka o mesjanizmie dopuszcza już naukowość innych zagadnień niż biograficznych i filologicznych (wpływologicznych). Na miejscu psychiki i jej praw jawia się pod względem kulturalnym o wiele bogatsze pojęcie struktury duchowej. Nie próbuje się naively przy pomocy znajomości psychiki ludzkiej i jej prostych potrzeb wyjaśnić skomplikowane gmachy kultury. Wychodzi się nie od człowieka do wyjaśnienia rzeczy, ale prawidłowo od analizy świata danych kulturowych, rzeczowych do skonstruowania człowieka — twórcy kultury. Wyodrębnione na zasadzie dość dowolnie przyjętych kryteriów formalnych typy zjawisk kulturowych interpretowane są jako obiektywne określenia struktur duchowych, jako realizacje idealnych modeli kulturowych. Podają się one próbem rozumienia ich sensu, pozwalają się odnieść do systemów wartości. O ich dynamice decyduje zatem sens dzieł kultury, zawity proces osiągnięcia wartości. Już to szkieletowe streszczenie mówi, jak wiele było w tych doktrynach fantastyki i niejasności. Było jednak wyjście z ciasnoty pojęć pozytywistycznych. A potrzeba tego wyjścia nie była sprawą „przesycenia się” pozytywizmem.

Pierwsza połowa XX wieku — to okres pogłębiającego się stale kryzysu ekonomicznego, społecznego i kulturalnego. Inteligencja z racji swej społecznej funkcji formułuje ideologię grupy, z którą jest związana. W rozpatrywanych przez nas latach inteligencja na polowie drogi między mieszczaństwem, od którego odeszła — a proletariatem, do którego w swej świadomości nie doszła — formułowała fałszywą ideologię swej subiektywnej samotności. W języku epistemologii i teorii nauki ideologia ta nosi różne nazwy: formalizmu w teorii kultury, socjologizmu, filozofii fenomenologicznej, konwencjonalizmu, nawet nie bez racji pragmatyzmu, a i neotomizmu ma tu swój udział.

Nie sposób tu analizować to wszystko szczegółowo. Niewątpliwie pokolenie, o którym pisze, najbardziej przeżyło postawę umysłową, której dobitnym wyrazem jest i „Wstęp do socjologii” Znanieckiego. Nie są to książki obce i pragmatyczne i formalistyczne i konwencjonalistyczne sugestie. Łączy w sobie rezultaty poszukiwań i natchnień i Dilthey'a i Webera i Durkheim'a i w jakiejś wielkiej mierze Poincaré'go, czy Meyersona czy wreszcie Jamesa. Zaczęły się młoda inteligencja lat 1930 w książkach tego typu. Wyrażały bowiem doskonale jej tragiczną, złąkaną i pełną szlachetnego niepokoju postawę społeczną.

Ta filozofia schlebiała inteligentemu poczuciu samotności, nadawała mu wartość, przekreślała sens wszelkiego wyraźnego opowiedzenia się w walce klasowej. Mówiły o tym zarówno decydujące w każdej teorii zasady klasyfikowania, które przesadzają problematykę ontologiczną, jak i tezy o dynamice kultury, jak i w konsekwencji konstrukcja człowieka — twórcy kultury. Kultura to był zespół zupełnie autonomicznych systemów, które wyjaśniała tylko wewnętrzna prawidłowość. Wyodrębniano się ostro (Znaniecki: typy czynności, Dilthey — Spranger: Lebensformen) systemy artystyczne, polityczne, religijne itd. Np. o rozwoju sztuki decydowały własne prawa sztuki. Kultura było to rzeczywistnie odrębnych przez wielość funkcji duchowych twórcy kultury zdeterminowanych szeregów idealnych modeli. Treść, wartość, struktura takiego modelu była zdeterminowana przez wewnętrzną prawidłowość danego szeregu kulturalnego. W konsekwencji np. pisarz mógł być i winien być tylko pisarzem, mógł być tylko fachowcem, liczącym się tylko z tym, co formalnie odróżniało kulturalny szereg artystyczny — sztukę — od innych szeregów. Tego rzekomo wymagała obiektywna dynamika kultury.

Była to typowa filozofia inteligencji lat międzywojennych. Przedstawiciele inteligencji czuli się solidarni tylko ze swymi grupami zawodowymi. Czuli się, jak postulował cytowany Zakrzewski, niezależnymi od walk klasowych, bezinteresownymi twórcami wartości duchowych, strażnikami kultury. Był to program wierności klerka. Przed „zdradą klerków” ostrzegano namiętnie. Inteligent rozczarowany fałszem i antagoniznością kultury burżuazyjnej — chciał strzec wartości rzeczowe cennych, wypracowanych w ciągu dzieł (modeli idealnych) przeciw narastającemu potopowi barbarzyństwa fałszywostwo. Sądził jednak, że starczy tu obrona symboliczna. Starczy głoszenie szlachetnych idei. Bohaterem jego był Karl Ossietzky: samotny dzierżący pochodnię ponad rosnącą falą zagłady, by podać szlachetne słowo prawdy późnym wnukom, by przekazać ów model idealny, który wystarczy, aby po wiekach rozkwiła znów taka uschnięta gałąź kultury. Inteligent tych czasów nie rozumiał potrzeby wspólnej walki o lepszy świat i ludzką kulturę z rzeczywistymi nowymi siłami historii — ze światem pracy, którego częścią był obiektywnie.

Oczywiście z charakterystyczną filozofią kultury wiązał się w sposób konieczny, zdecydowany relatywizm wartości. Potrzeba moralnego drogowskazu pchała ówczesną inteligencję ku neokatolicyzmowi, który swoim tradycyjnym systemem wartości dawał uzasadnienie pozornie racjonalne, nawet rzekomo odpowiadające wymaganiom rygorystycznego myślenia naukowego. Uzasadnieniem tym był tomizm. Była to nagminna choroba młodzieży inteligentkiej tych czasów.

IV. KOŁO POLONISTÓW

Już ta ideologia samotności była wiecznym źródłem rozterki i niepokoju dla ówczesnego pokolenia. Życie zbyt brutalnie przeczyło tej filozofii. To też tamto pokolenie było wyjątkowo ruchliwe umysłowo. Szukało ciągle, ciągle rewidowało stanowiska własne, przewartościowywało autorytety. Ośrodkiem tego ruchu na Uniwersytecie były Kola Naukowe. Dominowały wyraźnie nad organizacjami politycznymi. Poprzez presurę Kół Naukowych młodzi politycy sięgali po wpływy. Kola Naukowe grupowały i kształciły typ ówczesnego inteligenta: oderwanego, twórczego i krytycznego w swojej specjalności, wiernego swojej sztuce, tylko fachowca, klerka.

Koło Naukowe, najbardziej w tych latach postępowe społecznie w Warszawie: Koło Polonistów — to był początkowo główny teren działania Bienkowskiego. Z właściwą mu brawurą od swego nowicjatu przystąpił do walki z panującymi nastrojami. Była to skomplikowana, wielokierunkowa ofensywa. Trzeba dodać, że i sam szermierz musiał się dopiero dorabiać własnego programu, przynosił ze sobą tylko odmienną, klasową, robotniczą tradycję z domu, inną wiedzę o życiu z formalnych doświadczeń.

Bienkowski solidaryzował się z młodzieżą inteligentką w jej walce z relikami pozytywizmu, ale o tyle tylko — o ile to była walka z przeżytkami, ze skostnieniem myśli, z martwością. Natomiast ośmieszał i demaskował próby dorobienia do tych skromnych, rozsądnych i po prostu życiowych postulatów całej ideologii i światopoglądu antypo-

zytywistycznego. To ostatnie bowiem prowadził nieuchronnie do idealizmu, do odrzucenia rygorów empirycznego myślenia, do niebezpiecznego irracjonalizmu — w wyniku dawało wyżej scharakteryzowaną inteligentką filozofię kultury ludzi złąkaną, rozpaczoonych, słabych, nie rozumiejących sensu celu i form walki z gnijącym ustrojem.

Treść negatywna tych antypozytywistycznych dążeń była cenna: obrona swoistości świata kultury, odrębności praw społecznych, ich niesprowadzalność do praw nauk przyrodniczych. Było to przezwyciężenie mieszczańskiej socjologii naturalizmu spencerowskiego, uznającej liberalne, handlowe, kapitalistyczne społeczeństwo za kres ewolucji ustrojowej, tej Socjologii, która klasową strukturę społeczeństwa kapitalistycznego traktowała jako zróżnicowanie funkcjonalne części naturalnego organizmu społecznego zdefiniowanego przez żelazne prawa ewolucji biologicznej organizmu i gatunków. Robotnicy — to był odpowiednik układu cdywczego w organizmie, kapitaliści — klerwicznego (Spencer). Polityczna przewaga tych ostatnich, a podporządkowanie pierwszych to było prawo natury, warunek w ogóle istnienia społeczności.

Prowadziło to do jaskrawego zapoznania istotnych czynników historycznego postępu, rzeczywistych form walki o postęp, form organizowania celowego, świadomego, oszczędzonego postępowych sił społecznych, celem sprawiedliwej przebudowy istniejącego i nieznośnego porządku. Lecz powtarzam, tyle tylko było dobrego w ruchu antypozytywistycznym, jego treść negatywna: krytyka psychologizmu i naturalizmu, obrona swoistości praw społecznych, autonomiczności świata kultury. Pozytywne tezy tegoż ruchu prowadziły na manowce. Przede wszystkim przez swoją krytykę empiryzmu.

Obroncy empiryzmu wśród młodzieży znaleźli walnych sojuszników i mistrzów w uniwersyteckich neopoztywistach na katedrach filozofii. To koryfeuszom tzw. szkoły warszawskiej z Lesniewskim i Tarskim na czele, oraz znakomitemu Kotarbińskiemu zawdzięcza nasze pokolenie, iż stałe uprzytomniał nam cenę empiryzmu. Ci ludzie nie pozwolili nam nigdy wpaść ślepo w ostateczności idealizmu. Uczyli myśleć. Obuchem swych logistycznych rygorów rozbijali fałszywe i śmieszne konstrukcje fenomenologiczne, hipotezy Znanieckiego, Dilthey'ów, Sprangerów i całej rzekomej nauki odwracającej się od badania związków koniecznych zjawisk, a operującej się na intuicyjnym rozumieniu sensu, ducha, struktury duchowej.

Podobna była rola zakładu socjologii i historii kultury Stefana Czarnowskiego. Tam najsilniej i najkonsekwentniej została sformułowana kapitalna zasada metodologiczna nowej humanistyki: od rzeczy do ludzi, a nie od ludzi do rzeczy. Wyjaśnić, konstruować pojęcie człowieka-twórcy kultury wychodząc od obiektywnych, rzeczowych danych kulturowych, a nie jak u idealistów wyjaśniać kulturę odwołując się do rzekomej wiedzy o człowieku, jego duchu czy psychice. Ta ostatnia postawa wyśmiana była już przez Moliera, gdy jego lekarze wyjaśniali fakt, iż po zjedzeniu odpowiedniej ilości maku zasypia się — tajemniczą ukrytą siłą usypiającą właściwą makowi. Seminarium Czarnowskiego uczyniło badacę prawa przemian społecznych, prawa rządzące ustrojami i kulturami, wzajemne zależności zjawisk. Uczyniło związków i zależności między różnymi szeregami faktów kulturowych. Uczyniło rozumieć pojęcie uwarunkowania społecznego. Także uwarunkowania społecznego ideologii, sztuki, filozofii. Tych wszystkich rzekomych spontanicznych manifestacji „ducha”, „osobowości”, „charakteru narodowego”, „misji dziejowej”.

To wszystko walcie pomagało ludziom typu Bienkowskiego.

Pamiętam piorunujące wrażenie jego referatu o książce Ujejskiego „Dzieje mesjanizmu”. Bez dostatecznego aparatu krytyki metodologicznej potrafił pokazać całą jałowość dynamiki kultury, odwołującej się do praw rozwoju struktur duchowych, dokonywujących się dla samego siebie, niezależnie od potrzeb walki społecznej. Ujejski na wstępie swej pracy opisał mord duchowej struktury właściwej „postawie mesjanistycznej”, ustalił jej konstytutywne cechy formalne, i potem pokazał jak ta struktura, zgodnie ze swoimi wewnętrznymi koniecznościami urzeczywistnia się w konkretnym czasie i przestrzeni, osiąga sobie właściwy, swój pełny sens. Taka interpretacja oczywiście nie pozwala odpowiedzieć na żadne pasjonujące nas młodych pytanie dotyczące Polski romantycznej i jej jeszcze żywego spadku. Ujejski nie odpowiadał na żywotne pytanie jaka była rola ideologii mesjanistycznej przy zaprzepaszczeniu sprawy wolności chłopskiej w Polsce. Nie odpowiadał dlaczego ordynat Krasński tyle mówił o Chrystusie narodów — a milczał o pańszczyźnie (poza prywatnymi listami do rządów, w których wymagał pracy chłopskiej i pieniędzy). Ujejski wszystko tłumaczył koniecznościami wewnętrznymi postawy mesjanistycznej, właściwej duchowi ludzkiemu — twórcy kultury od czasów hebrajskich. Krytyka Bienkowskiego to nie była tylko sprawa argumentów i demaskowania słabych myślowych przeciwnika. To było demaskowanie treści politycznej tej nauki mieszczańskiej reklamującej swój rzekomy obiektywizm. To była gorączka ośmieszenia, która zawstydzała, budziła sumienie.

Lecz główny akcent ówczesnej działalności Władka spoczywał na czym innym. Był to czas, w którym dopiero formował się ideologicznie kulturalna. Był silny raczej jasnosc i trzeźwość swej postawy klasowej. Tym, że był i mógł być obcy wszystkim fałszom, które młodzieży inteligentkiej narzucała subiektywna sytuacja społeczna ich grupy.

Bienkowski szuka wówczas nowych treści ideowych, szuka książek, które mogłyby być właściwie przewodnikami inteligentkiego pokolenia, przewodnikami na drodze do zjednoczenia obozu świata pracy, do nowej ludowej kultury.

Zaczyna od odrzeczywania tradycji polskiego radykalizmu spod ramienia pozytywistycznej krytyki. To były dla nas czasy Brzozowskiego. Inteligencje pokolenie ówczesne żyło w swej większości pod urkami epigonów pozytywizmu z Dmowskim na czele. Krytyka pozytywistów w ostatecznej konsekwencji uszczupliła niechęć drobno-mieszczański i inteligentki horyzont ideowy.

Skompromitowano idee jedyne u nas rewolucyjnego środowiska drobnej szlachty. Z grubsza mówiąc, taki sens miała rozprawa Prusa z bonapartyzmem Rzekiego. Pierwszy okres zagospodarowywania się w nowych warunkach, które przyniosła reforma rolna 1863 roku i zniesienie ustawowych ograniczeń gospodarki przemysłowej w Kongresówce, w konsekwencji intensywniejszego przerastania w ustrój kapitalistyczny Rosji carskiej i ostrzegawczej klęsce krymskiej, nie był tak jaskrawo wsteczny. Przeciwnie zmusił mieszczaństwo polskie do zważania wielu, zwłaszcza ideowych i obyczajowych przeżytków feudalizmu. Późniejsze lata, okres rodzenia się endecji, dmowszczyzna obnażyła wsteczny, antyludowy i antynarodowy charakter tej formacji. Dmowszczyzna była formą cynicznej umowy ideowej z wstecznymi siłami caratu, była próbą obrony stanu posiadania klas uprzywilejowanych wbrew tendencjom organizującym się proletariatu i chłopstwa, wbrew ich dążeniom niepodległościowym i emancypacyjnym. Ideowi kompani Dmowskiego w roku 1905 wzywali Kozaków do tłumienia formalnych strajków. Takimi treściami polityczno-ideowymi żyła ciągle jeszcze młodzież pokolenia Bienkowskiego. Oczywiście środowisko, które go otaczało miało instynktowny wstręt do zakrystycznej, ślepej, tradycyjnej mentalności endecji. Nie miało jednak jasnego programu politycznego. Raczej dawało się kuścis pozorom obyczajowej postępowości sanacji. Fakt drukowania Boy'a w sanacyjnych pismach — wystarczył, by młodzież przypisywała sanacji cechy obozu postępu.

To było usprawiedliwione pewnymi lokalnymi przyczynami. W odradzającym się po długiej niewoli, a gospodarczo zapóźnionym państwie — mieszczański radykalizm Boy'a zachowywał ciągle jeszcze twórczą świeżość pierwszych swoich porywów z początku XIX wieku.

Wiemy zresztą, że te dwie frakcje burżuazyjne w Polsce i endecja i sanacyjna długo były (aż do „Ozonu”) skłócone personalnie — to również sprzyjało wytwarzaniu się różnych mitów. Młodzież „o postępowych instynktach” zapelniała przede szeregi „Legionu Młodych” — jako kolektywistów — lub ZPMD — jako syndykalistów, jak szustnie pisał Ryszard Matuszewski. Trzeba było zacząć od nawiazania zerwanych związków z polskim radykalizmem.

Stary Ujejski to rozumiał, znał bowiem młodzież i oświadczył do gruntu uczciwy umiał z nią współczuć. Nie obca mu zresztą były sympatie dla tradycji romantycznych. Czytało się więc na seminariach Brzozowskiego — w ciągu całych lat.

Udział Bienkowskiego w tej pracy polegał nie tylko na odkryciu dla nas namiętej pasji radykalnych frazesów obu trybunów: Mochnickiego i Brzozowskiego. Ale przede wszystkim na rychłym zdemaskowaniu ich społecznych niedostatków i niekonsekwencji, na zdemaskowaniu ich związków z wstępcznością. Rychło na Brzozowskiego nauczylimy się patrzeć jako na prekursora faszyzmu. Na postać tego samego tragicznego gatunku co inteligencja, sanacyjni „socialiści z 1905 r.” (Bohaterowie „Nocy i dni” Dąbrowskiej, a zwłaszcza świetnie zdemaskowana pani Salomea Groer w I tomie „Poloneza” Boguszewskiej i Kornackiego), tego samego gatunku, co „rewolucjoniści” z Legionu Młodych i ZPMD.

Brzozowski był czytany, bo był tak jak inteligencja pełen szczepności ziego i dobrego. Jego chaos odpowiadał chaosowi wewnętrznemu ideologii inteligencji. O Brzozowskim nie pisali u nas profesorowie, a czas nagli. Trzeba było rozstrzygnąć bez dzieł wielotomowych co sądzić o tym pisarzu. Był bowiem chlebem powszednim naszego pokolenia. Milczeli profesorowie pisujący przyczynki o Towiańskim, musieli studenci we własnym gronie, w dyskusjach po lebkach rozstrzygać dla siebie te żywe sprawy kultury. Stąd znaczenie samodzielnego ruchu studenckiego w tym czasie. Trzeba było uzupełniać sobie wedle możliwości ospała myśl oficjalną. Robił to między innymi i Władek. Robili i inni. Sporo ich było w kołach naukowych. Na potrzeby studenckie przynajmniej starczyło. Tam dzięki nim — przedyskutowało się to, o czym milczały katedry, a czym żyła młodzież. Złe było, że o nowościach naukowych i ideowych słyzało się raczej od kolegów. Uniwersytet nie nadążał za życiem. Studenci jakoś chałupniczą nieekonomiczną metodą, poprzez referaty w drobnych grupach, różnych środowiskach jak warszawskie, wileńskie, koło Dębickiego, poznańskie przy Instytucie Socjologicznym załatwiali swoje kłopoty. Załatwiali i Brzozowskiego.

Walka z Brzozowskim rozpoczęta przez Bienkowskiego na progu triumfów faszyzmu, po roku 1930 — to była jednocześnie walka z drobno-mieszczańskim, antyproletariackim, anarchizującym pseudorewolucjonizmem. To była walka z „biesami”. Z tym typem rzekomego radykalizmu, z tymi metami rewolucji, których pokazali Dostojewski w „Biesach” i Conrad „W oczach Zachodu” — pewni zresztą, biedacy, że pokazali właściwe siły rewolucyjne. Lecz niezależnie od ich subiektywnej pomyłki — obiektywnie dali świetną krytykę drobno-mieszczańskim obyczajom do gruntu rewolucji, a zaplątanym w ruch postępowy.

Kandydatów na bohaterów wspomnianych powieści Dostojewskiego i Conrada było sporo w naszym pokoleniu. Sprawa wychowania ideowego było uratować tych ludzi, wyprowadzić na drogę prawdziwego postępu. Taką rolę spełniło odkrycie i potem słuszną krytykę polskiego radykalizmu. Każde następne pokolenie „bieszów“ i ich ofiar będzie miało odtąd swego Brzozowskiego. W czasach okupacji wśród młodzieży WRN-owskiej odegrał taką rolę Henryk de Man. Dzisiaj Leon Blum i jego próby „spirytualizacji“, „humanizacji“ marksizmu. Oczywiście taką samą rolę odgrywają ci wszyscy młodzi, którzy są na lewo od zdrowego rozsądku, którzy uważają się za „prawdziwych komunistów“.

W czasach, które opisuje szło właściwie o przezwyciężenie pewnej odmiany opisywanej wyżej choroby inteligentkiej. Ta młodzież, którą udało się oderwać od dmowszczyzny i związać z tradycjami polskiego radykalizmu, co było etapem koniecznym, w tych własnych tradycjach znajdowała uzasadnienie swojej samotności. W starym, dojrzałym i Brzozowskiemu buncie kwiatu przeciwko własnym korzeniom. Młodzież ta bowiem w ruchu robotniczym i w ideologii socjalizmu naukowego widziała w jej dobie już martwe i skostniałe dogmaty, uważała, że może prześcignąć ten ruch i tę ideologię na drodze do postępu. Bo ruch robotniczy wszystko podporządkowuje walce politycznej o własne państwo socjalistyczne, gdy tymczasem obowiązkiem inteligencji — bezinteresownych twórców kultury jest w tych czasach pogardy obrona człowieka, wysokich ideałów, wolności.

Angażowanie się zaś w walce politycznej jest zbędne i co więcej naraża właściwie te ideały — naturalną domenę działalności Klerków. Imponował tym młodym drobniomieszczańskimi, anarchistycznymi syndykalizmem walczącymi z „dławącym jednostkę“, „molochem państwa socjalistycznego“ (zanim ono powstało! i w pełni triumfów niezauważanego faszyzmu!).

W tych warunkach zrodziło się w środowisku Bieńkowskiego hasło szukania ideologii, która by legitymowała się swoim empiryzmem i naukowością przy wyjaśnianiu zjawisk kultury i przeto przy planowaniu działania reformatorskiego, a jednocześnie, która by legitymowała się przede wszystkim swoim żywym związkiem z praktyką walki o postęp, ze zorganizowaną działalnością historycznie twórczych, młodych, postępowych sił społecznych.

Problemem marksizmu stał w całej rozciągłości.

Pamiętam, sam jeszcze od marksizmu daleki

te nową „Kuznicę“ w mieszkaniu Wiadka na Dolnej. Była to dziwaczna suterena. U wylotu ulicy zaczynały się jakieś półzamijskie, mokotowskie poletka. Najczęściej zastawo się tam poetę Szenwala, historyka literatury Hopensztanda. Uczono się wspólnie po rosyjsku. Tego języka prawie nikt nie znał. Lektorę marksizmu zaczynało się od zachodnich teoretyków. Najchętniej Francuzów — bo ten język był wielu dobrze znany. Na pierwszy ogień poszedł poczciwy psychologizujący Antonio Labriola. Ja reklamowałem późniejszy filar włoskiego faszyzmu — w młodości tego monografistę Engelsa — Rudolfa Mandolfo. Z Rosjan pierwszy był estetyk Friche.

Marksizm to była broń, która wytrzymała próbę wszelkich wątpliwości. Uparta postawa Bieńkowskiego w poszukiwaniu empirycznych kryteriów pozwałała nam inteligentom leczyć się powoli z wszystkich błędów politycznych i ideologicznych. Trwało to dość długo, to prawda. Demaskowanie złudzeń naszej filozofii kultury wywodzącej się, jak mówiłem wyżej z antypozytywistycznych idealistów — podkreślanie, że marksizm przelamuje błędy pozytywistycznego naturalizmu — bez porzucania pozycji naukowych, cennych rygorów empiryzmu dawało w końcu wyniki. Uwydatniałem wyżej wiązania tej filozofii, tego światopoglądu z subiektywną pozycją społeczną inteligencji i jej postawą polityczną. Krytyka marksistowska dotyczyła i tych spraw praktycznych. Marksizm zaś, coraz lepiej poznawany, pokazywał i drogę społeczno-polityczną, był bowiem teorią nie do pomysłenia bez praktyki, praktyki rewolucyjnej, z której wyrastał i którą doświadczeniem intelektualnym nasycał. Rykoszetem trafiły te boje i w modny tomizm. Filozofia katolicka dostarczała wprawdzie treści etycznych i ubożuchnego programu społecznego, ale znowu nie pozostawała w żadnym związku z żywą praktyką nauki. Obowiązki etyczne tomizmu zaspakajały potrzeby sumienia, pozornie zwarty system jakby dawał bazę intelektualną. Ale żaden aktualny problem filozofii kultury, problem dynamiki kultury tak jak był stawiany w żywej tradycji nauki od Spencera, przez Dilthey'a do Znanieckiego nie znajdował w tomizmie rozwiązania wprost. Tomistyczna filozofia kultury to był margines. Od błędów mógł się za nim opowieść i naturalista i antynaturalista. W neotomizmie bowiem te słowa trafiały się, ale zgola co innego znaczący niż w języku nauki. Każdy mógł się na te podobnie brzmiące — a co innego znaczące słowa powołać, każ-

dy mógł coś znaleźć dla siebie. Ale istotna problematyka neotomistycznej filozofii kultury nie miała nic wspólnego z żywą problematyką współczesnej humanistyki. Tak jak i społeczny program neotomizmu był to wyschnięty trup średniowieczny, sztucznie obdarzony pozorami życia. Sypało się próchno i popiół. Dziś obnażyła to próba życia — w ciężkiej dobie wojny tomizm zawiódł, nic nie umiał powiedzieć o życiu. Dzisiejsi katolicy, jak to słusznie Kott zauważył, wrócili do tradycyjnych wartości moralnych swej religii, odwrócili się od jałowych i zbędnych dla tej moralności konstrukcji intelektualnych. W czasach, o których piszę były jeszcze złudzenia. To też ukazanie, że system teoretyczny marksizmu jest, inaczej niż tomizm, cały sformułowany w języku problemów współczesnej humanistyki, wyraźnie opowiada się za jednym z każdej pary przeciwnych rozwiązań, stanowi część współczesnego nurtu nauki — to było realnym czynnikiem masowego odwrótu młodych, radykalnych intelektualistów od neotomizmu. Brałem udział w tej zabawie, znam jej historię i tajniki. Możecie mi wierzyć. Tak było.

Lecz marksizm to było zawsze wiązanie teorii z praktyką.

Stałe zacieśnianie się horyzontu ideowego młodzieży drobniomieszczańskiej — doprowadziło i ją i jej ideologów — epigonów politycznym do wyodrębnienia już tylko jednej „poważnej“, „ideowej“ sprawy w Polsce: sprawy żydowskiej. Dmowszczyca stali się wrogami wszystkiego co słusze i godziwe, wrogami kultury i nauki, postępu i emancypacji ludu polskiego. Wszystko co naruszało istniejący stan posiadania ich ojców było dziełem Żydów i masonów, łącznie z powstaniem narodowymi wedle słynnej formuły Dmowskiego. Jedynym zadaniem była walka z Żydami, antysemityzm był źródłem wartości i dostarczał zasad ich uhierarchizowania. Zasady rasowej musiały być podporządkowane kryteriom wychowawczym, poznawczym, estetycznym. Największe dzieło poety, uczonego, reformatora oceniano się zaglądając w spodnie autorowi. Było to królestwo nie tylko podłości, ale znacznie gorzej, bezdennej głupoty. Rychło mieliśmy przyzwyczać się. Hitler już był osiągniętą władzę w Niemczech. „Narodowo-demokratyczny“ gupey — wyjącej za krat podwórka uniwersyteckiego przeciw pochodom robotniczym — sami na ulicy wykrzykiwali „Niech żyje Hitler“. Możecie mi wierzyć — moi

dwudziestoletni czytelnicy — tak było. Sam to slyszalem.

W tych warunkach postępową młodzież inteligentną musiało walczyć. Choćby o niezależność swoich Kół Naukowych. O prawo posługiwania się na swoich naukowych zebraniach kryteriami poznawczymi — a nie rasowymi. Imponuje wtedy tym bardziej szacunek tak bardzo upolitycznionego przecieć marksizmu dla logiczno-empirycznych sprawdzianów rzetelnej nauki. Coraz wstrętniejszy staje się pragmatyzm dotychczasowej inteligentkiej filozofii kultury. Lecz są sprawy pilne — trzeba bronić prawa wybitnych kolegów. Żydów do swobodnych badań naukowych, do nauki. Bieńkowski jest żywym nerwem tych akcji. Obecny na każdym walnym zebraniu prowadzi atak, demaskuje przeciwnika, upolitycznia tę niezawsze jasną rozgrywkę. Jest jednym z tych, którzy uczą przytoku uczestniczenia w lewicowych organizacjach młodzieży, wiązania się z ich kierownictwem w akcjach różnego typu. Świetny improwizator umie kierować tłumnym zebraniem, zdobywać uczucia i myśli, tworzyć zbiorowe nastroje. Mimo licznej przewagi reakcjonistów te organizacje uniwersyteckie, w których uczestniczył nie wymykają się z rąk różnych koalicji lewicowych. Gdy rychło odsuwa się — od spraw studenckich z racji swego wieku — ludzie urobieni jego przykładem umiają działać już w ten sam sposób.

Celem istotnym bowiem jest praca kolektywna, formowanie się zespołów, frontu nowej, młodej inteligencji. Trudno w tym procesie wyróżnić osobiste zasługi jednostek. Łatwiej może wskazać kto postawił pierwsze kroki, kto dał inicjatywę. Lecz potem działał zespół, środowisko, które rosło w działaniu, szło coraz pewniej w obranym kierunku, nabrawszy w działaniu rozpędu, tym rozpędem miało poszczególne etapy. Rola indywidualna bardziej świadomych, dojrzalszych malała, więcej znaczył rozpęd działającego kolektywu. Lecz cel zamierzony był ciągle jeszcze daleki.

Nie bardzo wtedy śledziłem za polityczną organizacją przynależnością Bieńkowskiego. Inteligent — nie rozumiałem jeszcze doniosłości praktycznej i kulturalnej, ideowej zorganizowania politycznego. Miał jednak jakieś kontakty, z których się nie spowiadał. Zbyt wielu czynnych młodych działaczy politycznych spotykało się u niego.

Stefan Żółkiewski
(Dokończenie nastąpi)

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Czy istnieją „wady narodowe“

WSPOMINAMY przeszłość, rozmawiamy o sytuacji obecnej, medytujemy nad przyszłością. Wplątuje się nieraz do myślenia nasze, w rozmowy i argumenty pewien tradycyjny mit, który — jak wszelkie mity — przeszkadza nam trzeźwo przyglądać się prawdziwym kształtom rzeczy.

Mam tu na myśli głęboko zakorzeniony mit o naszych wadach narodowych, o przywarach, które jakoby są nam, Polakom, „wrodzone“, które jakoby nas wszystkich „charakteryzują“, które jakoby decydują nawet o dziejach narodu. Przecież to te „wady narodowe“ były zawsze naszym nieszczęściem i przyczyną wszelkiego zła. „Narodowe“ — a więc powszechne, gromadnie wysysane z piersi matek.

Mówi się zatem, że Polakom brak zmysłu organizacyjnego. Ze wybujały indywidualizm uniemożliwia nam współdziałanie, uniemożliwia podejmowanie zbiorowego wysiłku. I że to jest cechą wrodzoną. Mówi się, że Polacy nie umieją planować, że nie potrafią konstruktywnie myśleć o przyszłości, że nie umieją tworzyć racjonalnego programu i konsekwentnie, wytrwale go realizować. I że to jest cechą wrodzoną.

Mówi się, że Polakom zawsze brakowało mądrości politycznej i rozsądku politycznego — i że to jest także cechą wrodzoną. Rzekomo wspólne to nam wszystkim i od wieków stałe wady — a więc wady narodowe, od których nie ma ratunku. Najłatwiejszy to sposób tym tłumaczyć chwiejny bieg naszej historii, uważać te „wady narodowe“ za siłę wyższą, rozkładać bezradnie ręce — i tym sprytnym gestem zrzucać z siebie odpowiedzialność, jaką w rzeczywistości każdy z nas ponosi za losy swego kraju.

A tymczasem cała sprawa nie jest niczym więcej jak tylko legendą, którą nie wiadomo po co ustawicznie zatruwamy swe myśli. Bo żadne fakty nie potwierdzają istnienia owych „wad narodowych“ jako cech, z którymi się rodzi. Rodzimy się w pewnych warunkach w każdej epoce innych, w rozmaitych warunkach gospodarczych, kulturalnych i politycznych — i wykazujemy takie cechy, jakie się pod wpływem tych warunków kształtują. Co więcej, w różnych epokach te warunki nie dla wszystkich bywały jednakowe — i pojawiały się cechy rozmaitego rodzaju.

Natomiast warunki te właśnie w wielu momentach historii naszej kształtowały się i myśły je kształtowali w ten sposób, że sprzyjały rozwojowi się wśród licznych jednostek w danym pokoleniu pewnych cech, które ze społecznego punktu widzenia były napewno wadami często nawet w najwyższym stopniu groźnymi.

Wady jednostek tych niezmiernie często i nieraz fatalnie wpływały na wydarzenia, na dzieje narodu. A zapamiętajmy, że przez wieki całe jednostki te to byli reprezentanci jednej tylko klasy społecznej, wśród której cechy kształtowały się pod wpływem warunków odmiennych od warunków, w jakich żyła reszta społeczeństwa.

Ucząc się na źle podawanej nam historii, nabraliśmy skłonności do uznawania rozmaitych wad, przejawianych na gruncie państwowym i społecznym przez jednostki, które miały wpływ na stan rzeczy z tytułu swej przynależności klasowej, za wady, wynikające z jakichś przyrodzonych, niezależnych od aktualnych warunków — cech narodu. Nic dziwnego zresztą, skoro w podręcznikach historii i w literaturze nieraz przedstawiano nam wady, które wiele szkody przyniosły, tak, jak gdyby były cnotami godnymi dumy i naśladowania, skoro w rezultacie — nie wiadomo po co — gloryfikowano wady poszczególnych ludzi, wyrosłe w szczególnych warunkach, pasując je na „wady narodowe“, aby potem nad nimi — jako już „narodowymi“ — bezradnie utyskiwać.

Otchłań najniepotrzebniejszych w świecie zawilgości! Kompleksy, włokące się z pokolenia w pokolenie jak kula u nogi!

Bo gdy spojrzeć na rzeczy nie poprzez mity, lecz z dobrą wolą zobaczenia ich we właściwym kształcie — powstaje odrzuca pytanie: jakie zjawiska prezentują sobą co takiego, co by można było nazwać wrodzonymi nam wadami narodowymi? Wadami, które by występowały jako cecha nam wszystkim wspólna, a nie jako zwykła, choć pożądaną godną, ulomność pewnej ilości — jak to się wszędzie na świecie zdarza — niedojrzałych społecznie ludzi? A owe najpopularniejsze, najgłośniejsze okrzyknięte „wady narodowe“ jeszcze raz przypominam: Brak zmysłu organizacyjnego, niemożność współdziałania, podejmowania zbiorowego wysiłku. Nieumiejętność konstruktywnego myślenia o przyszłości, tworzenia racjonalnego pro-

gramu i brak wytrwałości w realizowaniu planów. Brak rozsądku politycznego.

Już od wielu dziesiątków lat — wraz z rozwojem się myśli postępowej, wraz z próbami zmiany warunków życia i stosunków społecznych poprzez projekty reform gospodarczych, politycznych i oświatowych, wraz przede wszystkim z żywiotowym, chociaż hamowanym przez reakcję, przenikaniem szerokich mas narodu w życie publiczne, wraz z narastaniem siły ruchu socjalistycznego i krystalizowaniem się postulatów warstw pracujących — zaczęło okazywać się coraz dobitniej, że szerokie rzesze społeczeństwa polskiego co najmniej tyle samo posiadają zdolności do organizowania swej przyszłości na drodze postępu, co społeczeństwa najbardziej w tym kierunku zaawansowane.

Ale warunki do całkowitego przelamania mitu o fatalizmie „wad narodowych“ nigdy dotychczas nie były dostateczne. Po okresie rozbiorów nadszedł okres międzywojennego dwudziestolecia, w którym wszelkie próby zorganizowania racjonalnego postępu zostały w rezultacie zdławione, nie doszła do skutku pełna demokratyzacja kraju, która jedyna stwarza możliwości zbiorowego realizowania postulatów naszej epoki. W reakcyjnym reżimie Sanacji państwem rządziła elita, a cała konstruktywna siła społeczna mas pracujących pozostała na uboczu, została wylimowana jako czynnik kształtujący życie publiczne i dzieje narodu. A członkowie tej elity to byli ludzie, którzy wernie powtarzali i naśladowali wszystkie najgorsze wady, jakie tylko przejawiały się dotychczas wśród tych ludzi w historii naszej, którzy źle gospodarowali państwem. Brakiem zaś mądrości politycznej i rozsądku politycznego nawet swe wzory przewyższyli.

Swoje najfatalniejsze, najgroźniejsze dla całego narodu wady zachowali ci ludzie na użytek publiczny i po przegranej wojnie. W najkryjniejszy sposób demonstrowali je poprzez ostatnie lata, chcieliby je demonstrować nadal. I oni i inni.

To wcale nie są reprezentanci żadnych „wad narodowych“. To są po prostu jednostki szkodliwe, które przeszkadzają postępowym masom społeczeństwa w konstruktywnym organizowaniu nowej, mądrej przyszłości.

Obecny wysiłek, obecna praca tej po-

stepowej masy społecznej całkowicie zaprzecza istnieniu owych okrzykniętych „wad narodowych“. Gdy tylko — po wyrzuceniu z kraju niemieckiego okupanta — rządy państwem spoczęły nareszcie w rękach lewicy i zaistniały warunki umożliwiające podejmowanie odpowiedzialności za sprawy publiczne przez coraz szersze rzesze świata pracy, gdy doszedł do głosu najlepszy materiał ludzki ze wszystkich warstw społecznych — okazało się, że Polacy umieją doskonale stawiać sobie konkretne zadania i je w konkretny sposób realizować.

Przytym zbiorowy wysiłek obecny nie jest podejmowany na ślepo i bezkrytycznie. W szczególności dzisiaj wielkich zadaniach jednocześnie i odbudowy i przebudowy państwa zdarza się nam wszystkim popełniać niekiedy pewne błędy — i staramy się z najlepszą wolą ich błędów widzieć i korygować. Ale w sumie rezultaty dwóch lat samodzielności narodowej są dostatecznie pozytywne, abyśmy mieli prawo przejąć się pełnym zaufaniem do samych siebie i z całym spokojem myśleć o czekających nas dalszych zadaniach.

Polakom brak zdolności organizacyjnych? W zdumiewająco krótkim czasie — po straszliwych latach wojennych, które obróciły kraj w gruzy, wytraciły ludzi, powodując we wszystkich dziedzinach życia niedostatek sił fachowych — społeczeństwo polskie zdołało zorganizować państwo i uruchomić wszystko na każdym odcinku, zdołało zagospodarować już w dużej mierze ponemieckie ziemie zachodnie, odbudować rozbitą przemyśl, rozwiązać trudności komunikacyjne, stworzyć potężną spółdzielczość.

Polakom brak zdolności do racjonalnego planowania i realizowania planów? Całe nasze zbiorowe życie obecne wskazuje na coś wprost przeciwnego. Cała nasza nowa niepodległość stanęła na fundamencie konkretnego programu i konkretnych planów, które zostały przeprowadzone konsekwentnie. Stworzyliśmy pełne możliwości dla dalszego rozwoju państwa prawdziwie nowoczesnego przez zrealizowanie reformy rolnej i szeregu innych reform koniecznych, przez upaństwowienie przemysłu i szybkie rozwinięcie produkcji. Plan trzyletni wytycza dalszą drogę i mamy już podstawy do przewidzenia, że będziemy zdolni go zrealizować.

Polakom brak rozsądku politycznego? Znaleźli się ludzie trzeźwi, uwolnieni od młotów przeszłości, którzy naszą politykę zagraniczną potrafiliby wesprzeć o zasady we współczesnej sytuacji światowej najsluszniejsze, najbezpieczniejsze, prawdziwie dalekowzroczne.

Różne wady, które przejawiali w naszej historii ludzie odpowiedzialni za kraj i które tyle nas kosztowały — po-

ADAM WAŻYK

O NOWELACH IWASZKIEWICZA

PRZECZYTAŁEM opowiadania Iwaszkiewicza zebrane w zbiorze „Nowa miłość”, jak się czyta książki w dzieciństwie: jednym tchem. Zdawało mi się, że nie lubię czytać opowiadań. Iwaszkiewicz przekonał mnie, że mogę tę formę literacką polubić. Wątpię, czy jest wielu pisarzy, którzy potrafiają ująć czytelnika sprzeciwiającego się wewnętrznie ich poglądom na sprawy tego świata, zaskarbić go dla swojej sztuki prozatorskiej. Jestem takim właśnie opornym czytelnikiem, sprzeciwiam się filozofii życia, której przeważnie służy ta piękna, chwilami urzekająca proza.

Nie wiem, czy dobór tych utworów jest przypadkowy czy rkrupulatnie, przez myślany. Bądź co bądź jedna myśl przewija się przez wszystkie z wyjątkiem opowiadania p. t. „Róża”. Ale i ten wyjątek nie jest wyskokiem. W opowiadaniach Iwaszkiewicza wszelka aktywność, wszelka działalność ludzka wywołuje skutki oplakane, okazuje się niepotrzebnie poczęta, staje się niebezpiecznym zakłóceniem jakiegoś naturalnego toku życia. W krótkim utworze z 1925 r., który użyczył swojego tytułu całej książce, znajdziemy w paradoksalnym pomysłach sytuacyjnym przygrzywkę do tej myśli. Mężczyzna waha się otworzyć drzwi przed kobietą, na którą czeka. Mężczyzna ma za sobą wiele przelotnych miłości, a to właśnie nadchodzi wielka miłość. Nie ma sił brnąć na siebie ciężaru zmian wewnętrznych i zewnętrznych, które mu ta wielka miłość niewątpliwie niesie, nie otwiera drzwi, rezygnuje. W opowiadaniu p. t. „Bitwa na równinie Sedgemoor” dziewczyna niepotrzebnie składa ofiarę ze swej młodości i powoduje śmierć braci, nie zmienia to ani na jotę biegu historii, która toczy się jak kapryśna fala i sama się wygładza. W opowiadaniu p. t. „Zygryd” zgorzkniałły starszy pan, dawny hofrat austriacki, wywołuje dramat przez to, że nieopatrznie odsłania przed młodym cyrkowcem skarby kultury. Wreszcie w najobszerniejszym utworze zbioru, w dużym opowiadaniu p. t. „Matka Joanna od Aniołów” ksiądz Suryn przez muje na siebie demona, który opętał mniszka, poświęca się aż do bezmyślnej zbrodni i z ostatnich zdań utworu dowiadujemy się, że to wcale nie poskutkowało.

Odrębną pozycję, jeśli będziemy śledzili tę myśl o zbędności działania, zajmuje „Róża”, opowiadanie o chłopce, która uzbierała sobie posag na służbie w mieście i wróciła na wieś wydać się za męża. Różę się nie powiodło, chłopiec, którego sobie wzięła, okazał się chorowity, dużo ją kosztował i umarł. Róża wraca do miasta uzbierać nowy posag, a przez ten czas nowy narzeczony, brat zmarłego podrobie. Opowiadanie kończy się optymistycznym życzeniem. Kiedy w innych wypadkach działalność ludzka prowadzi do niepotrzebnego tragizmu, tutaj postępowanie Róży ma jednak szansę zatriumfowania nad złośliwym zrzędzeniem losu. Czemu to? Bo ten „pomysłunek” Róży nie wykracza poza działanie konieczne, podyktowane przez los nieładnej dziewczyny wiejskiej, poza skromny zakres instynktu życia w układzie stosunków wiejskich. Jej działanie jest tylko samo obroną życiową. I nie ma w tym opowiadaniu miejsca na życie duchowe, które w innych utworach staje się źródłem tragicznego działania. Bezpośrednie motywy materialne normują życie w tym obrazku wiejskim. W tym wypadku Iwaszkiewicz utrafił w obiektywną prawdę. Nowela ukazuje ubliżającą god-

ności ludzkiej redukcję życia i wszelkich jego motywów w upośledzonym środowisku chłopskim, sąsiadującym przecież o kilka kilometrów z owym nieprawdopodobnym panem z 1925 r., który wzbrania się otworzyć drzwi przed ukochaną kobietą. Ta świetna, realistyczna nowela, pisana z pobłażliwym spokojem, godnym Maupassanta, rzuca osobliwy refleks na pozostałe opowiadania. Mamy tu przykład, jak na marginesie niesłusznej filozofii powstają zastanawiające swoją prawdą utwory literackie.

Motyw zbędnego działania może wiązać cały zbiór opowiadań, ale to wiązanie w myśl abstrakcyjnej tezy — wcale nie określa poszczególnych utworów. W materiale, kompozycji, w wymowie poszczególnych utworów ten motyw przestaje być najważniejszym, może się zatracić, może przekształcić się we własne zaprzeczenie. „Zygryd” ma wielokrotnie ostrze, jak każdy utwór nieco symboliczny. Przy odrobinie dobrej woli widzę w nim przekleństwo rzucone kulturze, która nie daje odpowiedzi na pytanie o prawdę. Czy autor stawia sobie to pytanie? Przeczytajmy „Matkę Joannę od Aniołów”. Przekonamy się o jego wątpliwościach.

Jeden jest tylko w tym zbiorze utwór, który sprowadza abstrakcyjną tezę z powrotem na właściwy teren, przymierza działanie jednostki do historii. To doskonale napisana „Bitwa na równinie Sedgemoor”, ogłoszona swego czasu w „Twórczości”. Fakt, że ten utwór pisany przed wojną, ale ogłoszony tuż po wojnie, nie wywołał ostrego sprzeciwu ideowego, tłumaczy się chyba przedziwnym lenistwem naszej krytyki literackiej, zwłaszcza na lewicy. Z epicką zwięzłością, nadającą przecięć wielką siłę wymowie faktów, Iwaszkiewicz opowiada o niepotrzebnej ofierze jednostki, nad której głową historia toczy się swoim trybem, i o szybkim wygasaniu motywów walki. Nie jeden czytelnik chętnie dopatry się w tym proroczej aluzji do powstania warszawskiego, albo też do ofiary krwi składanej przez żołnierza polskiego pour le roi d'Angleterre (dla pikanterii występuje nawet przodek Churchilla). Nie dlatego sprzeciwiam się tej filozofii. Niech sobie bitwa będzie w 1685, w czasach, które nas nie obchodzą. Niech się rozgrywa na motywach dynastyczno-wyznaniowych, które autor podaje w swoim konspieku historycznym. Motywy te służą mu znakomicie do spotęgowania ironii losu, która dotknęła biednej Anny. Wydarzenia historyczne przewalają się jak awantura, nieszczęsny, kto się w nią wdaje, poniesiony gorliwością. Z szacunku do autora nie będę wskazywał, jakimi tonami nabrzmiewa anegdota o Annie w obliczu ruin na ziemiach narodów, które wciągnęły się w najzacieklejszą walkę o swój byt, i w obliczu ocalonych miast na ziemiach innych narodów. Wolę uprzytomnić czytelnikowi, że idea przeczekiwania nie pochodzi u Iwaszkiewicza z nowych, dzisiejszych przemyśleń historycznych. Świadczy o tym nie tylko data. Ten małostkowy pogląd odpowiada doskonale nastrojom „nieinterwencji”, odgradzania się od świata murami prywatnego życia, znanym z rodzimej i francuskiej produkcji literackiej w ostatnich latach przedwojennych, w czasach narastania agresywnych gróźb faszyzmu. Ale spojrzmy głębiej w przeszłość — przekonamy się, że doszły tu do głosu konsekwencje postawy wyrażonej jeszcze w noweli „Nowa miłość” w 1925 r.

Ten pierwszy i najsłabszy utwór

jakie chce zorganizować i organizuje obóz postępu, to są warunki, które w swym rezultacie sprzyjają rozwijaniu się w szerokich masach społeczeństwa zdolności społecznie pozytywne — pozwolą nie tylko naprawić błędy i dogonić czas stracony, ale uplasować Polskę mocno w prawdziwie współczesnej, socjalistycznej sytuacji ekonomicznej i społecznej, ku której cały świat — mimo miejscowych zahamowań — wolniej lub szybciej maszeruje.

Społeczeństwo polskie coraz lepiej potrafi organizować swoje życie. Należy zająć dynamicę postępu, która prowadzi w rezultacie do osiągnięć ogólnie ludzkich, sprawiedliwych, realnych i wymiernych. Należy podjąć odpowiedzialność za dzieje ludzkie, nie hamować przez swą krótkowzroczność biegu tych dziejów, lecz je zrozumieć i ponieść na barkach.

Juliusz Żuławski

dzieje i taką rolę te sposoby odgrywają?

Działalność księdza Suryna osiąga trzy oplakane przymioty ludzkiej aktywności, staje się tragiczną, niedorzeczną, zbędną. W tym wypadku towarzyszy tej działalności dramat wewnętrzny, którego aktorami są oderwane pojęcia zła i dobra, grzechu i czystości oraz ich wykładniki teologiczne. Dochodzi nawet do hipostazy — ksiądz Suryn rozmawia z demonem. Pod warstwą pojęć moralnych i wyobrażeń religijnych tkwi jakiś podkład bardziej elementarny, samotność wewnętrzna, niemożność komunikacji z inną duszą ludzką, słowem to samo mniej więcej, co znamy z koncepcji człowieka u Conrada, w pierwszych powieściach Malraux i co na swoją modłę, z przeciągniętą czkawką wewnętrzną, czczą rozwijają dzisiaj egzystencjaliści; jest w tej koncepcji fala wiecznego niepokoju, jest również mgławica nieokreślonych doznań dzieciństwa, więc potrosze przypomina ksiądz jezuita Suryn przebranego w szaty duchowne inteligenta naszych czasów. Wrzekomo krąg samotności może zostać przerwany, mgliste napomknienia na ten temat otrzymuje ksiądz Suryn od rabina kabalisty, nazwanego anachronistycznie „cadykiem”. Przerwanie odbywa się trybem magicznym i wywołuje tylko pozorne, chwilowe uleczenie matki Joanny. Może ze stanowiska myśli katolickiej jest to niepowodzenie słuszne, może ksiądz Suryn doszedł w swoim życiu wewnętrznym do herezji i może zdrzeszył magię. Spekulacyjna strona tej koncepcji, która niewątpliwie szeroko będą omawiali nasi spirytualiści, jest mniej interesująca, niż stosunek tej koncepcji do całości utworu. Otóż w kompozycji utworu ta koncepcja człowieka nie panuje nad całością, przeciwnie, jest koncepcją ograniczoną, zakwestionowaną odmiennym materiałem faktownym, bardzo wyraźnie oddziela się od niej tło niezależnione w swojej strukturze od pojęć moralnych i religijnych, które działają na księdza Suryna, ale nie na ogólny bieg życia. Dramat jednostkowy — swoje, a życie — swoje... Co jest ważniejsze, co nadrzędne? Z kart opowiadania ktoś do nas mruga okiem na znak, że raczej to drugie. Jeśli więc u Conrada podobna koncepcja człowieka, nieprzerwany krąg jego samotności wewnętrznej, tragizm jego działania, występuje w pełni rozkwitu, panując nad kompozycją całego utworu, to u Iwaszkiewicza zjawia się w stanie przekwitu i rozpadu, otoczona wieloma znakami zapytania. Autor „Różę” insynuuje w „Matce Joannie”, że jednak jakies motywy życia i działalności ludzkiej, nie mieszczące się w tej koncepcji i nieprzywiedlne do omawianego systemu pojęć moralnych czy religijnych są ważniejsze od walki księdza Suryna z szatanem. Królówic Jakób przyjechał oglądać egzorcyzmy, ale właściwie sprowadził go jakies sprawy finansowe. Rabin, który oszałamia księdza Suryna swoją demonologią, odgrywa ponoć poważną rolę w tych sprawach finansowych. Spalony za czary ksiądz Garniec podobno dostał się na stos z innego powodu. Inne, nadrzędniejsze siły działają w świecie, gdy my tymczasem obracamy się wraz z księdzem Surynem w kręgu spraw, służących światu za pretekst. Dociekamy liczby i charakteru demonów, nie widząc, czy naprawdę istnieją, dociekamy natury ludzkiej, nie wiedząc, czy to wyabstrahowane pojęcie ma jakikolwiek sens. Wszystko to jest chwilowe, utudne, jak obłok, przez który przeświecają bodajże kokieteryjne

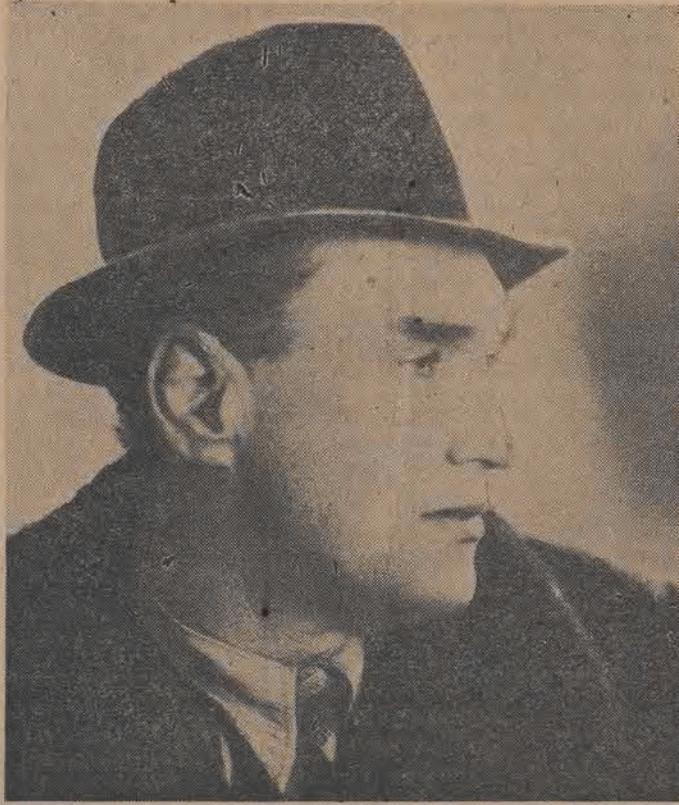
zarysy innej rzeczywistości: tam działanie może być sensowne. Nie widziemy jej, znamy ją z niedomówień i podejrzeń. Słowem w opowiadaniu „Matka Joanna od Aniołów” świat stosunków rzeczywistych jest niedomówiony i bardziej tajemniczy niż świat demonów. Nie bez kozery występują w nim ukryte motywy państwowo-finansowe. Wiadomo przecież, że od przeszło pół wieku, od czasu, jak rządzi światem niewidzialny kapitał finansowy świat stał się dla pisarzy niepojęty i tajemniczy. Akcja „Matki Joanny” dzieje się w czasach Sobieskiego, ale pisał ją Iwaszkiewicz w naszym stuleciu i zresztą zapowiedział czytelnikowi, że nie będzie się cofał przed anachronizmami.

Zlekka zamarkowane sprawy finansowe i częściowo związana z nimi działalność dworu królewskiego kryją się gdzieś w dalekiej perspektywie tła, tymczasem cała aparatura sztuki piśmiennej autora ciąży do tego gęstego obłoku, który je przysłania. Obracamy się więc w kręgu pojęć i wyobrażeń, które niekoniecznie i nie zawsze obowiązują, a które już napewno nie wprowadzają nas z niewiedzy o świecie. Nie jest bowiem intencją utworu, aby nas obowiązywały lub mogły oświecić, autor ma wiele powodów, aby je dobrotliwie kompromitować, ostateczny bowiem akcent kładzie na zbędność, a nie na tragizm wewnętrzny działania. Książę Suryn, wzięwszy na siebie brzemień opętania, zarębał dwóch parobków, prostactkich młodzianków o niewinnych duszach, aby zatrzymać przy sobie demona i nie puścić go napowrót do matki Joanny. W ostatnich zdaniach czytamy: „Prowincjał jednocześnie przywołał wiadomość, że diabły ponownie opętały matkę Joannę od Aniołów. Dopiero w parę lat potem wyzdrowiała na dobre i do końca długiego żywota sprawowała rządy nad urzulankami lubieńskimi. Po jej świętobliwej śmierci pasterał przeoryszy przejęła z jej rąk słynna z pobożności i pracowitości siostra Małgorzata a Cruce!”

Brzmiało to szyderczo i przypomina France'a, tymbardziej, że w trakcie opowiadania siostra Małgorzata lekko myślą dała się uwieść dworzaninowi królewicza Jakóba i spędziła noc poza klasztorem. Ale u France'a można odciąć zakończenie, a smak albo przedsmak gryzącej ironii pozostanie w okrojonym tekście. U Iwaszkiewicza ta ironia jest lokalnym chwytym jednym z wielu. To nie tyle ironia w stosunku do wierzeń religijnych, ile — ironia losu. Nie dość, że diabły opętały ponownie matkę Joannę, ale po kilku latach wyzdrowiała na dobre, samorzutnie, prawdopodobnie bez żadnych zabiegów. Sprawa, w którą książę Suryn włożył tyle gorliwych starań, rozwiązuje się sama, w sposób niedocieczony, niepojęty, nie wspólnego nie mający z tymi staraniami, podobnie jak w niepojętym biegu historia normuje się niezależnie od Anny.

Otóż w tej filozofii życia, która przeciwstawia *przeczekiwanie* ludzkiemu świadomemu działaniu, decydującą rolę odgrywa pojęcie czasu rozciągającego w sobie wszystkie sprawy i bolączki, czasu czyli biegu życia, który samoczynnie wszystko jakoś normuje. Łatwo można to dojrzeć w wielu dawnych rzeczach Iwaszkiewicza, czy to w „Zmowie mężczyzn”, czy w „Czerwonych Tarczach”.

W „Matce Joannie” ów bieg życia ma swoją materialną kanwę, złożoną z bardzo pospolitych, stereotypowych funkcji życia codziennego. Strzępkami tej kanwy autor przeplata dla kontrastu wielkie, jadłowite sprawy moralne. Osieroczone dzieci Alunio i Krysia tkają pomiędzy nabrzmiałymi bolączkami księdza Suryna swoją treść codzienną, krzątając się przy gospodarstwie księdza Bryma, palą ogień, przynoszą wodę, wykonują funkcje fizjologiczne. Książę był im ojcem, czarownik, który opętał cały klasztor, a Krysia zyczajnie moczy podłogę. Przez kontrast nabiera ta kanwa dziwności, na jaką z pewnością w tym świecie prawd relatywnych zasługują, gdyż ona jest jedyną sprawdzalną, niewymagającą żadnej analizy rzeczywistością. Cokolwiek wypiętrza się ponad tę codzienność, co-



Jarosław Iwaszkiewicz

kolwiek ją zakłóca i stwarza wir moralny, można ujmować tak albo inaczej, dobrowolnie zmieniając pozycję, bo też wszystko to uśmierzy się w samoczynnym biegu życia, jak chwilowy wir na rzece, płynącej od nieznanego początku do niewiadomego ujścia. Nie decydując się na określoną pozycję poznawczą, przyjmujemy możliwość rozmaitych interpretacji, zamiast jednego ujęcia tematu, mamy cały łańcuch spojonych ze sobą ujęć sprzecznych, chciałyby się powiedzieć — relatywnych.

Czy nie dlatego, że zajęcie określonej pozycji poznawczej wciągałoby nas w jakąś „nową miłość”? Zapewne, byłaby to wielka i trudna miłość, niosąca nam zmiany wewnętrzne.

Koncepcja pierwszej noweli zbioru wciąż charakteryzuje postawę filozoficzną w całej książce. Mądrością człowieka jest zgranie się z samoczynnym biegiem życia, i podobnie, jak nie mącą tej zgody drobne przejściowe miłości tak i zmienne ujęcia tematu, nieobowiązujące interpretacje, nie naruszają tej filozofii, przynajmniej w zasadzie.

Prowadzi to do swoistych konsekwencji literackich w „Matce Joannie”, do intrygujących wieloznaczności, nawet do zagięć mistycznych w poszczególnych postaciach, czy sytuacjach. Ma to zagięcie postać parobka Kaziuka, a i wszędobylski szlachetka Wołotkowicz, niedowiarek, ogromnie ciekaw spraw demonicznych, chwilami kroi na pół ćwierć diabła. Stąd i dwuznaczny,

RYSZARD MATUSZEWSKI

WZÓR DOBREJ PROZY

CECHA literatury, która dostaje się do naszych rąk w chwili obecnej, jest zbyt często górowanie chęci pisarza, by zapanować nad tematem wielkim i ważnym ponad możliwością i umiejętnością należytego jego opracowania. Przeżywamy gwałtowny odwrót od zainteresowań zagadnieniami formy piśmiennej, bardzo rozumiały na tle przeobrażeń, jakie dokonały się w świecie zjawisk kształtujących kulturalną nadbudowę naszego życia, lecz bardzo niebezpieczny w wypadku, gdyby miał dokonać się z pozycji innych niż całkowicie opanowana i ugruntowana biegłość piśmiennej rzemiosła i bardzo niepokojący, gdyby okazało się, że punkty wyjściowe stawiające sobie ambitne cele młodzieży piśmiennej stoją niżej, niż na to wskazują najlepsze doświadczenia poprzedników.

Wśród szczytowych osiągnięć prozy polskiej minionego dwudziestolecia wzorowy kunszt narratorski Jarosława Iwaszkiewicza domaga się dlatego specjalnego podkreślenia. Już przedwojenne utwory autora „Panien z Wilna” i „Młyna nad Utratą” zyskały mu w krytyce zgodną opinię pisarza, który, zwłaszcza w specjalnie upodobanym przez siebie rodzaju dłuższego opowiadania na pograniczu pomiędzy nowelą a powieścią osiągnął bezapelacyjne mistrzostwo. Dwa świeżo wydane zbiory, opowiadań Iwaszkiewicza

napoły mistyczny posmak sceny na morście i odwiedzin u „cadyka”, stąd inwokujący romantyczne praktyki motyw spełniającej się wróżby. Wszystko to w kontekście nie obowiązującym. Metody, w które nie wciągamy się na stałe, redukują się do chwytów literackich. Na tyle są dowolne, że nie odpowiadają stałym tezom o świecie, na tyle zgrane, że uzgodnione stylistycznie. Na tym zresztą polega wirtuozeria, do której doszedł w prozie Iwaszkiewicz. Skłonność do odświeżania nawet tak naiwnych i zbanalizowanych motywów, jak spełniająca się wróżba, niepospolita umiejętność odświeżania nadaje wielu stronicom cechy zamierzony wrotności literackiej, ale nie stylizacji. Język Iwaszkiewicza, jego styl jednolicie wypracowany, wyzbyty minoderii i pokus impresjonizmu, które prześladowały go w pierwszych latach twórczości, działa właśnie jak środek odświeżający.

W opowiadaniu p. t. „Zygryd” autor z góry zapowiada czytelnikowi, że da mu banalną anegdotę cyrkową, z katastrofą na zakończenie. Zapowiedź bez mała perfidna, bo zwykła, banalna anegdota cyrkowa rozwija się na motywach miłosnych, a tu wchodzi w grę zupełnie inne przyczyny katastrofy. Obraz pozostaje ten sam, zmienia się argumentacja. Iwaszkiewicz sam w tym wypadku wskazuje palcem na proceder literacki odnawiania starych kompleksów wyobrażeń, starych treści przez zmianę argumentacji, która zwykła tym się różni od pierwotnej, że trą-

ci sztucznością. W danym wypadku proceder ten ujawnia się tym dobitniej, że treść jakoby skupia się w jednym obrazie katastrofy cyrkowej, śmiertelnym upadku akrobata. Co więcej, ten obraz, do którego dąży opowiadanie, ma swoje pendant plastyczne, fresk na płafonie kościelnym, przedstawiający w podobnej postaci i ruchu obraz anioła. Narratorem jest architekt, który w kilku fazach odsłania fresk z pod tynku. Sens fresku obnaża się równoległe z rozwojem opowiadania. Taka analogia ma niewątpliwie charakter mistyczny. Cawyt odświeżający, użyty przez autora, polega na tym, że narrator wcale tej analogii nie komentuje, narrator jest doskonale wyprany ze skłonności mistycznych. To prawda, ale związek ten w kompozycji utworu nie przestaje być związkiem mistycznym, podobnie jak zmiana argumentów nie zmienia nałogów, które pętają wyobraźnię pisarza. Takie jest prawo rządzące literaturą piękną. Prawo to ujawnia się w jej fazach schyłkowych. Przyjmujemy w naszej wizji świata związki, którym już nie dowierzamy, te związki nęcą nas, bo nie chwytamy jeszcze innych.

Odnosi się to w równej mierze i do omawianych właściwości literackich „Matki Joanny”. Chciałbym jeszcze wrócić do tego utworu, stanowiącego trzon całej książki. Komplikacje kompozycyjne „Matki Joanny” mogą zdziwić czytelnika, który zna z dawnej twórczości Iwaszkiewicza znacznie prostsze, spokojniejsze wewnętrznie całości. (Wyjątek stanowią chyba „Pasje Błędomierskie”). Może nie należy z tych komplikacji wyciągać śmielszych wniosków, a jednak... Wspomniałem już, że koncepcje z lat międzywojennych dochodzą tu raczej do stanu przekwitnięcia i rozpadu, a podstawowa teza o zbędności działania ludzkiego wykazuje pęknięcia i szpary, przez które przecieka — coppersaw tajemnicze — światło skądinąd. Wydaje mi się, że można rozciągnąć to spostrzeżenie i na całą filozofię życia, z której się utworzył, jako dziecko jej późnego wieku i kto wie, czy nie dziecko wyrodne. Ponieważ sprzeciwiam się tej filozofii, więc chętnie bym w to uwierzył. Najistotniejsza u Iwaszkiewicza teza — o czasie, który samoczynnie normuje i wygładza wszelkie sprawy, nie panuje już nad całością utworu, autor salwuje ją lokalnymi chwytami, to w zakończeniu, to znów w poszczególnych miejscach, gdzie podkłada widome strzępki codziennego życia. Ucieczka do tej metody bardzo mnie zastanawia. „Widome strzępki” nie ratują tezy. „Matka Joanna” tkwi jeszcze w wieloletniej filozofii życia, ale czy ta filozofia nie została zachwiana?

Adam Ważyk

„Nowa miłość” (*) i „Stara cegielnia” (**) są dowodem, że lata wojny nie zahamowały tego cennego odgałęzienia jego wielostronnej twórczości.

Z dwóch książek Iwaszkiewicza, które ukazały się obecnie cykl „Nowa miłość” jest chronologicznie wcześniejszy, wyprzedzając właściwie okres wojenny: na ogólną liczbę pięciu składających się nań utworów — trzy noszą datę cofającą nas — w wypadku jednej nawet bardzo daleko wstecz — ku epoce dawniejszej. Tym niemniej skomponowany i zebrany teraz tom zdaje się być z dzisiejszego punktu widzenia ważnym ogniwem rozwoju środków piśmiennej Iwaszkiewicza i jednym z świadectw wielkiej dojrzałości jego wspaniałego talentu.

Cały cykl ma kompozycyjny charakter jak gdyby rozkwitającego układu form narracyjnych. Od najprostszego — opowiadania „Nowa miłość”, będącego psychologicznym monologiem au ralenti, który tylko absolutna szczerość i ledwie dostrzegalna ironia autora dyskretnie i stanowczo oddziela, od melodramatycznego psychologizowania podobnych utworów robionych na serio, poprzez brutalną maupas-

*) Jarosław Iwaszkiewicz — „Nowa miłość i inne opowiadania” — 1946 r., „Czytelnik”, str. 238.

**) Jarosław Iwaszkiewicz — „Młyn nad Lutynią”, Inst. Wyd. Panteon, W-wa 1946.

santowską schematyczność opisu najprostszyc czynności i uczuć w wysmienitej „Róży” zmierzamy w nim ku coraz bardziej skomplikowanej strukturze kompozycyjnej opowiadań „Bitwa pod Sedgemoor” i „Zygryd”, a zwłaszcza w najdłuższej historii „Matka Joanna od Aniołów”.

Zastanawiająca jest odwaga i pewność, z jaką Iwaszkiewicz oschły i zimny obserwator realista, a zarazem przenikliwie czuły łowca najnieostrzeżalniejszych odciwni wzruszenia i liryk, miesza i godzi ze sobą sprzeczne elementy rzeczywistego i urojonego, realnego i fantastycznego świata, tworząc z nich niespokojnie kontrastującą tkanę stylu, który umie służyć do wyrażenia zarówno domniemanego toku myśli przeżytego bonviveura obawiającego się niepokojów „nowej miłości”, jak do opisu gry instynktów i chciwych zabiegów obrysowanych grubą kreską prostactków z „Róży”.

Mamy tu do czynienia z zestawieniem niewątpliwie świadomym, dwu odrębnych, głęboko między sobą różniących się tonacją utworów, ale warto zauważyć, że podobne prawo artystycznego kontrastu stosowane jest w twórczości Iwaszkiewicza również na mniejszej przestrzeni i stanowi może jedną z najbardziej uderzających cech talentu tego pisarza.

Występuje ono jako bezustanne ocieranie się o siebie, w elementach zarówno kompozycji jak i języka, rysów przejawionej trywialności i wydelikacenia, przesubtelniejszego liryzmu i brutalnego prostactwa. Sąsiaduje ono ze sobą w odrębnym rysunku poszczególnych postaci i w rysunku każdej z nich, jako skomplikowane uwarstwienie ich psychiki, w doborze barw dla opisu przedmiotów świata zewnętrznego i w doborze słów w lirycie Iwaszkiewicza, gdzie obok najbardziej przyswojonych przez język, poetyckich zwrotów pojawiają się nieraz śmiało prozaimny bynajmniej nie przypadkowe.

To operowanie przez pisarza kontrastami stylu przedstawionych postaci pozwala mu niejednokrotnie wydobyc z niezauważanej i pomijanej przez literaturę, Chodzi mi o wypadki, gdy zdarzenia — te, składając się z elementów niejednorodnych i nieokreślonych pod względem stylu życiowego, jaki reprezentują, wymykają się spod umiejętności przedstawiania przez pisarzy tkwiących w schematach konwencjonalnych np. schemat inteligentki, ludowy, proletariacki.

To właśnie Iwaszkiewicz zauważył warstwę ludzi wyszereżonych, pretensjonalnych, nienaturalnych i nierównych w postępowaniu, delikatność uczuć młodych prostaków z podmiejskiego proletariatu, ich ambicje i niezręczność, pretensje córki praczki, która lubi ludzi „inteligentnych”, dramata młodego volksdeutscha, w którego historii znajdują oddźwięki konflikty społeczne między starym a młodym pokoleniem, między archaiczną poznańską wsią a germanizującym się miasteczkiem. To właśnie Iwaszkiewicz umiał pokazać jak obok nieludsko prymitywnych działań w nich motywy subtelnie skomplikowane, jak obok realności rzeczywistej faktów, wśród których się obracają, wyrasta wśród nich realność pozorna świata ich wyobrażeń, świata, któremu Iwaszkiewicz pozostawia często ze względów artystycznych pełną niemal autonomię.

W opowiadaniu „Matka Joanna od Aniołów” od początku do końca nie wiemy w jaki sposób rozegrał się wielki dramat w świadomości ubogiego duchem księdza, walczącego z demonami, nie wiemy nawet w jakiej właściwie płaszczyźnie w stosunku do świadomości autora cały ten dramat się rozgrywa, jaskrawy bowiem realizm przeżyć wewnętrznych bohatera, których osąd ostateczny autor odwołuje do samego końca i pozostawia biegowi wypadków, sąsiaduje z jednakowo plastycznym realizmem faktów rzeczywistych: nie wiemy ku jakiemu rodzajowi interpretacji przechylił się w końcu autor. Element kunsztownej retardacji w odkryciu istotnego jego stosunku do zjawisk widzianych jednocześnie oczyma pisarza realisty i oczyma księdza wierzącego w demony, zmierza do celowego wydobycia momentu niespodzianki, na której utwór jest zbudowany.

W odpowiedziach Iwaszkiewicza wszystko jest celową konstrukcją, nic nie jest pozostawione podyktowanemu tokiem wspomnień czy dowolnych skojarzeń przypadkowych. Czy to w toku sztucznie konstruowanego „strumienia świadomości” bohatera opowiadania „Nowa miłość”, czy w opowieści o dziejach „Róży”, czy w historii siedemnastowiecznej bitwy pod Sedgemoor, widzianej oczyma młodziutkiej zwolenniczki ówczesnego prawowitego, katolickiego władcy Anglii, w narracji o młodziutkim cyrkowcu Zygrydyzie, czy wreszcie w historii o londyńskich mniszkach opętanych przez demony — wszędzie panuje owa najdalej posunięta celowość, brak jakiegokolwiek zbędnego słowa i obrazu. To samo cechuje konstrukcję opowiadań „Stara cegielnia” i „Młyn nad Lutynią”, składających się na tom poruszającej tematy wojennej prozy Iwaszkiewicza.

Warto zwrócić uwagę, że zespolenie wszystkich ważniejszych elementów każdego z utworów Iwaszkiewicza wiąże konieczności konstrukcyjnej jest oparte w dużej mierze na specjalnego rodzaju motywacji artystycznej, często celowo kryjącej w sobie dowolny związek skojarzeń psychologicznych, połączenie motywów takich jak nienaturalnie przyspieszone opadanie piatków róży z budżetu jednocześnie z nienaturalnie szybkim wzięciem uczuć bohatera do kobiety będącej przedmiotem jego pragnień, jak skojarzenie wizji odkrytego spod tynku starej kolegiaty fresku wyobrażającego strącenie z nieba cherubina z rzeczywistym śmiertelnym

upadkiem młodziutkiego akrobata spod sklepienia cyrku, jak ucieleśnienie naiwnego wyobrażenia diabła kuszącego siedemnastowiecznego Jezuitę w postaci pijaczyny szlachcica, który jak zły duch podmawia pobożnego księdza do wszystkiego złego.

To uzależnienie od siebie zjawisk obiektywnie pozbawionych rzeczywistego związku późnych przejawów literackiego symbolizmu, uzasadnienie w traktowaniu sfery zjawisk literackich jako autonomicznych i rządzących się własnymi prawami, do ku, znajduje, podobnie jak niejedną z rządu których należą również oderwane od swoich dalszych związków reguły estetyczne. Trudno zaprzeczyć, że możliwość skojarzenia płótna brudnej budy cyrkowej z renesansowym plafonem, pospolitego akrobata w trykotach z upadłym aniołem przysparza plastyki naszemu widzeniu, podobnie jak przysparza jej zestawienie duchowej rozterki księdza Suryna z postacią szlachetki Wołodkiewicz, odmalowanej przez autora tak jakby ją widział ze swego subiektywnego punktu widzenia sam bohater.

W obrazach tych mamy nieodłączny atrybut plastyki stylu Iwaszkiewicza: zestawienie płaskości i wzniosłości, trywialności i wysublimowania. W „Starej cegielni” występują one w rysunku zarówno postaci jak sytuacji. Trywialny i wzniosły jest jednooki bandyta Wacek i ukrywający rannego konspiratora stróż starej cegielni, zaloty Wacka do Klaruni podrysonowane są z jednej strony szlachetną nieśmiałością uczuć kalekiego wyrostka, z drugiej piaską trywialnością ich wzajemnego zbliżenia, ich języka, ubóstwa ich życia wewnętrznego.

Język Iwaszkiewicza, sięgającego śmiało do opisu życia i kreowania postaci z różnych warstw społecznych i różnych epok obraca się swobodnie w tak niepewnych regionach lingwistycznych jak wieś, podmiejskie osiedle i siedemnastowiecze. Busolą pisarza jest prosty i zwięzły współczesny język literacki, odbiega on od niego tylko w wypadkach najbardziej koniecznych i powraca do niego w wypadkach wątpliwych, nie bojąc się na przykład, jeśli chodzi o teksty historyczne, — pewnej

modernizacji, nigdy zato nadmiernie nie stylizując.

Świadomość potrzeby utrzymania stylu w sztuce, która nie jest naturą i nie jest kopią natury, lecz konstrukcją celową, mającą swoje określone zasady, przebiega w każdym fragmencie prozy Iwaszkiewicza. I czy to będzie opis grobli przy mlynie ogarniętym powodzią czy opis pochodzącego zakonnika kroczącego w świetle dnia przez rynek miasteczka, sztuk wędrownego trupy cyrkowej w osadzie galicyjskiej, czy niedzielną siestę wycieczkowiczów w Lesnej Podkowie — wszędzie przymięt narzuconej każdemu obrazowi proporcji i harmonii określa każdy wykorzystany element rzeczywistości, kierując doбором słów użytych celowo i bezbłędnie.

W epoce najbardziej niechlujnego, jakie sobie można wyobrazić, posługiwania się słowem, epoce zaniedbania praw konstrukcji artystycznej na rzecz wątpliwych osiągnięć wszelkiego rodzaju „autentyzmów” proza Jarosława Iwaszkiewicza, zwięzła, klarowna i czysta może służyć za model i wzór, z którego czerpać będzie zapewne niejedno jeszcze pokolenie.

Ryszard Matuszewski.

PRZEGLĄD PRASY

NIERAZ czytałem, zwłaszcza w prasie literacko-społecznej, wydawanej na terenach Ziemi Zachodnich, narzekania i skargi na obojętność pism centralnych wobec spraw śląskich. Wydaje mi się, że nie zawsze pisma te (myślę tu głównie o „Odrze”) mają rację, bowiem zagadnienia np. ekonomiczne i gospodarcze nieraz były omawiane zarówno w tygodnikach jak i miesięcznikach Łodzi, Krakowa czy Warszawy. Być może, że stosunkowo mniej uwagi poświęca prasa literacko-społeczna kręgów centralnych sprawom kulturalnym, ściślej — literackim. Takie uutożsamianie problemów nie jest chyba ani słuszne ani sprawiedliwe. Lektura pewnych artykułów i wypowiedzi „Odry” sprawia często wrażenie, że śląski órodek literacki sam sobie jest winien, jeśli głos jego nie brzmi w kraju dość silnie. „Odra” oczyma swego kronikarza, który prowadzi stałą rubrykę „Wśród czasopism”, być może z racji odległości, która dzieli redakcję od ośrodków takich jak Łódź, Kraków czy Warszawa, zdaje się nie dostrzegać istotnego problemu, któremu na imię „walka”. Prowadzona na froncie literatury, walka ta jest odpowiednikiem wojny o poglądy na świat i o wszelkie wynikające z tych poglądów konsekwencje. Myśli się sprawozdawca „Odry”, jeśli omawiając młode dzieło numer „Kuźnicy” pisze, że „jest to pociągające programowe i w ujęciu Stef. Żółkiewskiego propagandowe zarazem”. Istnieją zapewne przyczyny głębsze, niż lep propagandy, jak to sobie wyobraża p. ki, jeśli kilkunastu młodych pisarzy, prozaików, poetów i publicystów, zdecydowało się opublikować swoje prace właśnie w „Kuźnicy”. To nie my „pokazujemy język” — jak to pan pisze p. ki — to tylko historia pokazuje język tym, którzy nie chcą jej zrozumieć.

Nie wierzę p. ki, jeśli twierdzi, że oburzając się w swojej ocenie młodzieżowego numeru „Kuźnicy”, oburza się zupełnie bezinteresownie, w imię autonomii literatury. Podział, który zarysowuje się wyraźnie w społeczeństwie, nie może nie zarysować się wśród tych członków społeczeństwa, którzy są pracownikami kultury. Wnoszę ze sprawozdania p. ki, że irytują go fakty, świadczące dobitnie o tym, iż widocznie ideologia „Kuźnicy” nie jest tak wąska, że jej metody nie są „niewybredne, a argumenty tu używane... powierzchowne”. Gdy by tak było, czy udałoby się redaktorowi, mimo wszelkich szatańskich sztuczek, jakie mu przypisuje p. ki, zgromadzić materiał do numeru młodzieżowego? Ale wobec tego, że tylko fakty są prawdziwe, jak twierdzi jeden z moich przyjaciół, pozostawiam polemikę ze sprawozdaniem „Odry” z nr. 1 samym faktom.

Podczas gdy naczelny i jedyny organ literacki na Ziemiach Zachodnich z przekąsem i z niechęcią ustosunkowuje się do faktów kulturalnych, przypisując im znaczenie doraźnych tricków przedwyborczych, poważny miesięcznik naukowy wydawany w Łodzi, „Myśl Współczesna”, poświęcił cały swój pierwszy w bieżącym roku wydawniczy numer sprawom Śląska i Pomorza. Prace zamieszczone w tym numerze specjalnym omawiają zarówno problemy ekonomiczne, gospodarcze, historyczne jak i społeczne czy kulturalne.

Numer otwiera praca Władysława Gomułki: „Polska a Ziemia Odzyskana”. Autor wskazuje na ścisły związek, jaki istnieje między aktem zrzeczenia się terytoriów wschodnich i uzyskaniem terenów na Zachodzie. „Obszar Ziemi Odzyskanych stanowi 57,7 proc. terytorium zabużańskiego, które od Polski odpadło — pisze Gomułka — Otrzymaliśmy zatem na zachodzie i północy o 42,3 proc. mniej niż oddaliśmy na

wschodzie. Poniesioną stratę terytorialną rekompensuje nam wiele innych czynników, a przede wszystkim gospodarczo-przemysłowy poziom Ziemi Odzyskanych i najlepszy do pomyslenia układ geograficzny nowej Polski. Skapitalizowana wartość wszystkich inwestycji na Ziemiach Odzyskanych, obliczona po przejęciu tych ziem przez Polskę, daje nadwyżkę w wysokości 4,5 — 5 miliardów dolarów po odliczeniu inwestycji wg. stanu przedwojennego na ziemiach zabużańskich, które odpadły od Polski. Ten wybitnie dodatni bilans inwestycyjny jest głównym momentem rekompensującym naszą stratę terytorialną”. W dalszym ciągu, nakreśliwszy obraz gospodarczego potencjału odzyskanych terytoriów, wskazuje autor na konieczność jak najszybszego zespolenia tych ziem z pozostałym obszarem kraju. Wreszcie powołując się na statystykę pisze autor, że „należy stanowczo odrzucić ekonomiczne argumenty obrońców Niemiec i stwierdzić wyraźnie, że próby podważenia zachodnich granic Polski wypływają z zamiarów podważenia pokoju między narodami świata. Podlegające wojenni chęliby zorganizować jak największą liczbę punktów zapalnych na świecie. Z tych względów i dla tego celu kwestionują prawa Polski do Ziemi Odzyskanych”.

Artykuł, który ze względu na osobę autora, ministra dla spraw Ziemi Odzyskanych, możemy uważać za jaknajbardziej autorytatywną opinię demokracji polskiej na temat terytoriów nadodrzańskich, zawiera w części końcowej sformułowanie kłunastu tez i stwierdzeń, dotyczących zarówno historycznych praw Polski do Śląska i Pomorza, jak i ich znaczenia dla struktury naszego kraju: ekonomicznej i społecznej. „Ziemia Odzyskana, ziemia na której już dzisiaj żyje i pracuje 4 i pół miliona Polaków — czytamy w zakończeniu artykułu — to podstawowy warunek zbudowania Polski silnej, wolnej i niezależnej. Taką ją pragnie widzieć cały naród polski i taką ją buduje pod przewodnictwem obozu demokratycznego”.

Po tym wstępnym i ogarniającym całość zagadnienia artykule Władysława Gomułki następują skolei prace omawiające poszczególne sprawy związane z terytoriami zachodnimi.

Kazimierz Piwarski uzasadnia historyczne prawa Polski do tych terenów. Artykuł rozwija tezę o konieczności przesunięcia naszej granicy zachodniej, konieczność ta bowiem była podyktowana samą egzystencją narodu polskiego. Obszerny wywód historyczny wyjaśnia to nam szczegółowo i dostarcza jednocześnie licznych wiadomości, dat i faktów.

O stosunkach demograficznych na Ziemiach Odzyskanych pisze Andrzej Breitkopf. Artykuł składa się z dwóch części; w części drugiej omówiono poszczególne województwa, uwidaczniając stosunek liczb autochtonów, repatriantów i przestępleniów i podając cyfry dotyczące wsi i miasta.

Andrzej Bolewski omawia „Gospodarcze znaczenie Ziemi Odzyskanych”. Z przytoczonych statystyk i z licznych tabel cyfrowych czytelnik może łatwo zorientować się w ogromnym potencjale gospodarczym tych ziem.

O tym co zdołano już zrobić w zakresie przemysłu na terenach zachodnich do wiadujemy się z przedrukowanego w tym numerze „Myśli Współczesnej” przemówienia wiceministra przemysłu, Eugeniusza Szyra. Znowu mamy tu cyfry i fakty, które znaczą więcej niż efektowne frazesy, jakie najczęściej czytamy w prasie na tematy śląsko-pomorskie.

Hilary Minc, minister przemysłu, w

przemówieniu swoim na Drugim Zjeździe Przemysłowców Ziemi Zachodnich, mówiąc o przemysle, poruszył również i inne zagadnienia związane z Ziemią Zachodnią. Gdy czytamy teraz to przemówienie w „Myśli Współczesnej”, wydaje mi się, iż to, że minister przemysłu przemawiając na zjeździe specjalistów mówi i o polityce międzynarodowej i o polityce wewnętrznej, o planowym szkoleniu kadr, o sieci rozdzielczej aprowizacji i t. d. i t. d., ma pewien głęboki sens symboliczny. Istotnie zagadnienie ziem zachodnich jest zagadnieniem kompleksowym. Mogłoby służyć jako przykład dla tych, którzy sądzą, że można mówić wyłącznie o sprawach pięknych i wzniosłych, pozostawiając sprawy „zwyčajne” leniwemu biegowi rzeczy.

Dopiero na tle tych wszystkich rozważań i stwierdzeń, dotyczących roległej — od historii po ekonomię — problematyki ziem zachodnich, nabiera znaczenia artykuł Romana Lutmana o zagadnieniach kulturalnych tych terenów. Tym bardziej, iż zdaniem autora, „problem kulturalny na Ziemiach Odzyskanych wysuwa się na plan pierwszy całej problematyki Ziemi Odzyskanych”.

Autor maluje nam stosunki ludnościowe i dochodzi do wniosku, że „ludność miejscowa (autochtoni — przyp. mój) stanowi zespół kulturalny o wyraźnie zarysowanej osobowości społecznej. Jest to niemal wyłącznie ludność robotnicza i chłopska. Element mieszczański i inteligentki stanowi wśród niej tak znikomy odsetek, że nie wpływa to na obraz społeczny tej ludności”. Ludność ta, jak pisze autor, zachowała swoją kulturę regionalną. „Kultura ta jednak od dawna utraciła łączność z zespołami kulturalnymi, które tworzyły w rozwoju historycznym polską kulturę narodową”.

Po nakreśleniu ogólnego zarysu kulturowego ludności zamieszkującej obecnie tereny odzyskane, Lutman precyzyjnie wnioski, jakie wypływają z tego stanu rzeczy dla polityki kulturalnej na tych ziemiach. Jako zagadnienie centralne wysuwa „tworzenie własnej inteligencji”.

Przechodząc do zobrazowania dzisiejszego stanu posiadania kulturalnego, autor wskazuje na kilkanaście ośrodków naukowych, na biblioteki, instytuty, stowarzyszenia kulturalne. Bilans ten, jak pisze sam autor, „nie jest zbyt pocieszający”, mimo to „ogólna ocena nie jest pesymistyczna”.

Wracając skolei do początku mojej kroniki, który w tej chwili, wobec omówionego przeze mnie artykułu Romana Lutmana, znowu się aktualizuje, chciałbym stwierdzić, że programowe odcinanie się „Odry” jako naczelnego organu literackiego Ziemi Zachodnich od ideologicznej walki, jaka jest prowadzona w środowiskach centralnych, nie przyczyni się bynajmniej do podwyższenia poziomu kulturalnego tych terenów. Jeśli śląskie środowisko literackie, jak mam prawo o tym sądzić na podstawie rocznika „Odry” i kronik, w których ustawicznie prowadzi się podjazdowe walki przeciwko lewicy, bez względu na społeczną treść działania tej lewicy, chce zachować fikcyjną autonomię i poruszać się w kregu zagadnień regionalnych, to naczelne zadanie: tworzenia własnej inteligencji na terenach zachodnich nie zostanie wykonane. Ta „własna inteligencja” bowiem dziś, w konkretnej sytuacji historycznej — społecznej może się rekrutować w lwiej części z warstwy robotniczo-chłopskiej. Czy ideologia „Odry” sprzyja tej rekrutacji i czy zapewni rekrutom fałszywą czy też prawdziwą drogę do ogólnonarodowej kultury?

dh



BARDZO lubię palić fajkę. To jest nie tylko przyjemność, ale pasja, a nawet i kolekcjonerstwo. Prawdziwy palacz wielu używa fajek. Pamiętam, jak w Paryżu, na rue de la Paix, podziwiałem na wystawie wspaniałego sklepu „Old England” piękną kolekcję siedmiu fajek na wszystkie dni tygodnia. Sześć fajek było prostych, z krótkim cybuchem. Różniły się między sobą tylko srebrnymi napisami z nazwą dni. Ale jedna fajka była wspaniała, miała cybuch ogromny, długi i skręcony. A na nim przytwierdzony srebrny napis: Wednesday.

Piękne to były fajki. Wiemy wszyscy — najlepsze fajki na świecie są produkcji angielskiej: Old Merry England. Związczą celuje w ich wyrobie znana i zasłużona firma — „Baden Powell”. W ich wyrobie i eksporcie. Palą angielskie fajki w Grecji i Indiach, w Palestynie i w Chinach. Kształszą się okrutnie ale palą. Co robić. Dobra stara Anglia. Old Merry England.

Niestety, to palenie fajek angielskich nie wszystkim wychodzi na zdrowie. Zmarli już przeważnie starzy i zasłużeni wodzowie indiańscy, którzy wieczorem, w puszczy przy ognisku, podawali sobie na znak wieczystej przyjaźni fajkę pokoju, wymieniając uczciwie pomiędzy sobą zdobyte skalpy wrogów. Zmarło się tym starszkom w dziewiętych puszczach Ameryki. Dwuch jeszcze tylko wodzów indiańskich zostało. Ale nie są w Ameryce. Są bliżej.

Wielki wódz Siuksów Lipiński posłał Mikołajczykowi, bratniemu wodzowi sąsiedniego plemienia Komanczów — fajkę pokoju. Wódz Komanczów głęboko się zaciągnął, zakrztusił i splunął. „To nie tytoń — krzyknął rozgniewany — to zwykły papier”. Poczem rzucił fajkę o ziemię i ogłosił: „Niechaj plemię Siuksów w dalszym ciągu przebywa w puszczy i ściągają skalpy z głów przeciwników. Nasze dzielne plemię Komanczów nie wykopie jeszcze dzisiaj tomahawków i dalej trudnić się będzie inicjatywą przywatną. Odwołuję rozkazy wojenne. Pytałem o radę Wielkiego Szamana Zachodu. Powiedział: „Wróżby są złowrogię, bębny biją na trwogę. Ustąpił złożony niemocą wódz puszcz całego świata — Byrnes. A chytry czarnoksiężnik, Minic, który razem z tobą jest w radzie przywołał właśnie od plemion, mieszkających nad Missisipi, skórzane wory pełne złota. Bieda nam, bieda! Bębny biją na trwogę. Koniec łowcom głów!”

I tak jest naprawdę. Kończy się zabawa w Indian. A tak niedawno jeszcze, wielki Wódz Komanczów żądał trzech czwartych pastwisk i trzech czwartych kwartałów puszczy na polowania.

A teraz, jeśli spytacie mnie na serio, w jaki sposób Stanisław Mikołajczyk, syn górnik i ludowiec, przywódcą strajku chłopskiego z roku 1937, odegrał rolę w ciągu tych ostatnich dwóch lat tę żalną rolę ośla trojańskiego strasznych drobniomieszczan i półinteligentów, którzy nie rozumiejąc z tego co się dzieje na świecie, zastraszeni i w półprzysłoni, błagają kolejno Anglików o pulki interwencyjne lub oczekują wybawienia od band leśnych, od NSZ-tu do UPA, sądząc że potem, oni właśnie oni, tchórzliwi właściciele sklepików lub kulturalni posiadacze poczekalni dentystrycznych czy adwokackich, zostaną, będą górą, będą rządzić.

To co się stało, to nie jest nawet kłęką głupich drobniomieszczan, to jest, choć oni sami o tym nie wiedzą, ich jedyne ocalenie. Kłękę poniosł kto inny, nawet nie PSL, nawet nie Mikołajczyk, kłękę poniosło i poniesie aż do końca faszystowskie podziemie i agenci zagranicznych trustów i obszarnicy rojący o odebraniu ziemi chłopskiej, i magnaci przemysłu, którzy czekają, czekają, czekają.

I dlatego poszedł tą drogą pan Mikołajczyk, chłopski działacz, walczący ogień z sanacją, premier londyńskiego rządu po śmierci Sikorskiego, przywódca PSL i Wicepremier Rządu Jedności Narodowej. Nie on pierwszy tak skończył.

Posłuchajcie co Karol Marks pisze w „18 Brumairze”:

„Objawjący urząd prezydenta Bonaparte powołał niezwłocznie ministerstwo partii porządku, na czele którego postawił Odiłona Barrota, starego przywódcę najliberalniejszej frakcji burżuazji parlamentarnej. Pan Barrot upolował wreszcie tę ministerialną, której widmo prześladowało go od roku 1830 — co więcej, tę premiera tego gabinetu; ale nie jako najbardziej zaawansowany przywódca opozycji parlamentarnej, jak to robił sobie za Ludwika Filipa, lecz z zadaniem uśmierzenia parlamentu i jako sojusznik wszystkich swych zajadłych wrogów, jezuitów i legitymistów. Powiódł wreszcie swą narzeczoną do ołtarza, ale ta już była ładaczną.”

I tak Mikołajczyk powiódł PSL do wyborów. Kandyd

Rocznica wojny i student entuzjasta

27. października w 5 liceum w Atenach profesor Stomatianopolos wygłosił przemówienie z okazji rocznicy napadu faszystowskiego na Grecję. W chwili najbardziej wzruszającej uczeń Aleksander C. Syros, którego ojciec został rozstrzelany przez Niemców, wznosił okrzyk: Precz z faszyzmem. Niech żyje wolność!

Aby ostudzić jego zapał powalono go na ziemię i bito tak długo, aż zalał się krwią, następnie odprowadzono na komisariat policji, gdzie po krótkim przesłuchaniu dowiedział się, że sprawa zostanie oddana sądowi. Stoi bowiem pod ciężkim zarzutem wnoszenia okrzyków, które... mogłyby wywołać zamieszki i niepokój w narodzie.

rr.

Niebezpieczeństwo kryzysu w USA

Z enuncjacji Lippmana w „New York Herald Tribune” ogłoszonej w związku z raportem Rady doradców ekonomicznych Białego Domu, dowiadujemy się, że autor nie podziela optymizmu, tego raportu. Jakkolwiek — stwierdza Lippman — raport przewiduje kontynuację okresu wielkiej produkcji i wysokiego zatrudnienia przez pewien czas, to jednak można w nim odnaleźć również zapowiedź możliwego potem kryzysu ekonomicznego.



Raport ostrzega, że w momencie nasycenia rynku produkcją może nastąpić nowa depresja. Ameryka boi się kryzysu gospodarczego bardziej, niż czegokolwiek innego. „Nie możemy nikomu zagwarantować — konkluduje Lippman — że uda się nam opanować niebezpieczeństwo kryzysu, ale możemy dowiedzieć, że postaramy się uczynić wszystko, co jest w naszej mocy”.

bs

Jeszcze o metodzie insynuacji

W jednym z ostatnich numerów „Kuźnicy” w nocie p. t. „Niewłaściwe miejsce” poświęconej p. K. Lichańskiemu wykazano na czym polega w krytyce stara i dobrze znana metoda insynuacji psychologizacyjnej, posługująca się takimi pojęciami jak „poeta z urodzenia”, „twórczość z natchnieniem i bez natchnienia itp. Zwracam uwagę na inny przejaw tej metody, mający równie długą brodę co poprzedni i stosowany ostatnio przez niektóre pisma wiodące podjazdową walkę z „Kuźnicą”. Nie dawno w „Dziś i jutro” ukazała się recenzja Jana Dobraczyńskiego z książki Brandysa, ostatnio zaś w „Tygodniku Warszawskim” wzmianka p. Kropki p. t.: „Dla kogo jest „Kuźnica”. W treści recenzji i w treści wzmianki uderza jedno: obie mówią o utworach literackich pisarzy, będących współpracownikami „Kuźnicy”, traktują te jako autobiograficzne wypowiedzi autorów. Dobraczyński w recenzji czyni to z zastrzeżeniami, zaznaczając, że „o ile wolno identyfikować Brandysa z jego bohaterem w pierwszej osobie, to...” itd., p. Kropka z „Tygodnika Warszawskiego” robi to bez tych zastrzeżeń, mimo to metoda jest podobna.

Zdajemy sobie sprawę, że tak w jednym, jak i w drugim wypadku metoda insynuacji stosowana jest nie przez naiwność lecz celowo. Bardzo wygodnie jest zasugerować, że skoro bohater Brandysa nie mówi o swym bohaterstwie, nie jest w „organizacji” i nie rzuca bomb — to książka jest dziełem nieuspołecznionego i bezideowego tchórze, który, gdy inni dokonywali zamachu na Kutsherę, ukrywał się we własnym mieszkaniu. Mamy przed sobą nową książkę p. Dobraczyńskiego p. t. „Szata godowa”, otwieramy ją na chybił trafił na jednej z pierwszych stron i przychodzi nam na myśl, że autor recenzji o Brandysie, zajmując swoje stanowisko, mógł być nawet szczyry w swym — powiedzmy to otwarcie — zakłamaniu. Czytamy w niej o jej bohaterze (str. 10 u dołu) „Zeszedłszy na drogę ścisłego związania swego życia ze sprawami wiary, zagrawszy,

Noty

według własnego wyrażenia „pełną stawką o katolicyzm”. Adam stanął na skraju drogi, w tym miejscu, w którym zawsze będą musieli stawać ludzie oszołomieni ogromem Boskości. Boskość przemawiała mu raczej do rozumu niż do serca. Ugiął się przed jej tchnieniem, a jednocześnie gorzko wyrzucił sobie, że umie jedynie mówić o Bogu, dowodzić Jego obecności i Jego działania w świecie, natomiast nie umie tego Boga kochać ponad wszystko. Świętość — rozmyślał nieraz — oto problem, na który musi się zawsze natknąć myśliciel chrześcijański” itd.

Oczywiście myślimy sobie: jaki ten bohater szlachetny! I jaki podobny do Dobraczyńskiego, który przecież też jest wierzącym katolikiem, też ma na pewno takie głębokie myśli. Czyżby Dobraczyński na prawdę sądził, że książka jest tym lepsza, im bohater jest bliżej piedestału heroizmu i świętości? I czy w pamięci Dobraczyńskiego z czasów okupacji konspiracyjny bohaterowie rozmnożyli się na prawdę tak bardzo, że nie umie on uszanować w postaci literackiej Brandyś skromność i uczciwość jej roli przeciętnej, tuzinkowego obserwatora, która, położywszy rękę na sercu, była rolą dużo większej liczby mieszkańców stolicy niż to wygląda dziś w fałszywej legendzie?

Doświadczenie uczy, że dobrzy majstrowie literackiego rzemiosła lepiej często widzą świat z zakątków niż z walnej areny. Stendhal widząc bitwę pod Waterloo, oczyma Fabrycego del Dongo pokazał nam z niej więcej niż jednego z heroicznych ikonografów. To tak, jak z fotografią. Lepsze są zdjęcia rano lub o zmierzchu, niż w południe, kiedy słońce świeci najostrej.

Z autorem notatki o opowiadaniu Hertz „Ucieczka z krainy Lambertów” jest sprawa inna. Ten nie tylko nie ujawnia wątpliwości co do tego, że jego bohater to sam Hertz, ale nawet nazywa utwór „wspomnieniem autobiograficznym”, a sądząc słusznie, według swego pisma, że periodyk literacki jest dla tych, co w nim sami piszą, zapytuje dla kogo jest „Kuźnica”, która pisze o wnukach tych, co odcinali kupony od akcji i robili giełdowe interesy?

P. Kropka wyraża zdziwienie, że „Kuźnica” interesuje się udziałem młodzieży mieszczańskiej w „Wiciach” a drukuje literaturę z zakresu genealogii mieszczaństwa. Właśnie dlatego, panie Kropka! Właśnie dlatego samemu interesujemy się jednym i drugim. I chętnie zamieścilibyśmy dobrą nowelę o młodzieży mieszczańskiej w ruchu „chłopów z ulicy Marszałkowskiej”. Może pan ją napisze?

r. m.

Zabłąkany Jaszcz

Trudno jest bezstronnemu człowiekowi zaprzeczyć, że Jan Kott jako autor jedynej i naprawdę europejskiej książki krytycznej, która ukazała się po wojnie, zaważył na życiu literackim dziesięć lat. Artykuły jego układają się w konstruktywną całość, są ciekawą i ważną walką o zmianę gustów literackich i więcej atmosfery umysłowej u nas. Działalność ta ma jednoznaczny sens społeczny i funkcję polityczną.

Nie dziwię się, gdy „Gazeta Ludowa” czy „Tygodnik Warszawski” nie dysponując piórem zdolnym merytorycznie polemizować z Kottem próbuje „czepiać się” pisarza. Ulubioną formą tego „czepiania” jest pomawianie Kotta o drobne pomyłki. Podkreślanie jego roztargnienia w szczegółach, ma pośrednio podważyć zaufanie czytelnika do słuszności i trafności jego myśli zasadniczych. Powtarza się to kłamstwo przy łada okazji i jedno-brzmiało, aby się wreszcie przykleiło. Sprytna metoda małych ludzi, małych wrogów. Dzielne jest natomiast, gdy tę metodę stosuje „Odrodzenie”. W Nr. (110) pisze jaszcz w notatce „Czymi śladami?” „Niescisłości i omyłki wynikające z intelektualnego pośpiechu, wtykano Kottowi...”

...Ostatni lapsus trafił się Kottowi w „Przekroju”.

...Sprawa dotyczy „niedowiarków” i „wykwintni” owej młodzieży z czasów Wielkiej Rewolucji, którą Kott przerosł w czasy Napoleona i darzy wyrażną życzliwość.”

Na czym opiera jaszcz, swoje ogólne insynuacje o pośpiechu intelektualnym pisarza? Jaką pomyłkę popełnił Kott? Napisał w „Przekroju” wyraźnie: „Pójdź... do muzeum... poświęcone jest Rewolucji Francuskiej. Nie zapomnij obejrzeć tam dokładnie szytechy przedstawiające „niedowiarków” i „wykwintni...” na wieść o wszystkich zwycięstwach Napoleona odpowiadali... „to nie do wiary”.

A więc Kott umieszcza swoich niedowiarków właśnie w okresie Rewolucji Francuskiej. Pisze, iż byli to reakcyjni panice. Wspomina, iż ironizowali patetycznie sprawozdania ze zwycięstw Napoleona, ma na myśli przede wszystkim owe „40 wieków patrzy na was” u stóp Piramid. Dwuznaczny jest w zdaniu Kotta zwrot, że kpili ze wszystkich zwycięstw. Oczywiście trzeba było bardzo źle woli, aby rozumieć, iż dotyczy to... Moskwy i Waterloo. Zwrot miał jedynie podkreślić, że stosunek tych ludzi do Napoleona nie zmienił się.

Wszystko więc, o czym p. jaszcz Kotta poucza, właśnie ten ostatni napisał w swoim felietonie. A jego życzliwość dla reakcyjności — wrogów Napoleona? Jedyne ktoś bardzo tęp nie docenił dowcipu tylko dlatego, że go wróg powieździł. I p. jaszcz śmieje się z reakcyjnych kawałów o gluchońmiem co kupował papierosy Bałtyk i Wolność.

To też takie felietony, jak ostatni jaszcz, można wyjaśnić jedynie dogadaniem dzisiejszej reakcji (a nie życzliwości dla reakcji sprzed 150 lat) i podsycając kampanię, której sens polityczny może prywatnie wyłożyć lekkomyślnemu jaszczowi każdej chwili felietonista „Gazety Ludowej”, ten od „kultury i sztuki”.

żk.

Profesor i demokracja

W noworocznym numerze „Życia Warszawy”, bardzo czytane pisma, prof. Suchodolski znany „młośnik demokracji” (tej „prawdziwej”) wyjaśnia w artykule „Wielka przebudowa” (aż!) na czym polega „pochód demokracji”. Tym „zwycięskim pochodem demokracji” ma być regulacja rzeki Tennessee i wykorzystanie gospodarce dotąd nieużytkowanych terenów przez kapitalistów amerykańskich.

Pracę tę wykonał oczywiście wyszyskiwany robotnik zgodnie z nowoczesnymi zasadami organizacji pracy. Uczony profesor nazywa to w patetycznych słowach „wielką szkołą nowego życia”.

Pan Profesor spróbował ująć w formy znane z opisów osiągnięć socjalistycznego budownictwa w ZSRR miłe swemu sercu praktyki wyzysku kapitalistycznego, tyle, że dokonywane w kraju demokracji, zachodniej demokracji! Dla Pana Profesora przyszłość ludzkości zależy tylko od tego, czy wykorzystają się w pełni zdobycze nauki i techniki. W jakim ustroju, w jakich stosunkach własnościowych, społecznych i politycznych? O tym w swych ferdybzdurkach Profesor ani napomyka.

Panie Profesorze, warsztat pracy, zbiorowy wysiłek jest szkołą życia, ale jego wartość wychowawczą zależy od tego dla kogo się pracuje, a nie wyłącznie od tego jak się pracuje! Proszę wystrzegać się formalizmu w myśleniu. Formalizm prowadzi do wypisywania nonsensów.

żk.

Pocieszny wykwinis czyli pan Dzikowski wyszydony

W numerze pisma dla wszystkich, który ukazał się w dniu Trzech Króli znów wykwinis figluje na temat „Kuźnicy” pocieszny pan Dzikowski.

Tym razem p. Dzikowski proponuje nam, byśmy posunęli się w naszej ciekawości dla niego aż do usadowienia się pod jego materacem.

Zrobiłbym to najchętniej, mój pocieszny panie, ale eheu... biorąc pod uwagę pańskie możliwości pisarskie, sądząc, iż na tym materacu również nic ciekawego się nie dzieje.

fl.

Komunikat Zarządu Głównego Z. Z. L. P.

W prasie ukazała się wiadomość, że wyrokiem Sądu Państwowego literat Stanisław Wasylewski został oczyszczony z ciężkich nań zarzutów współpracy z okupantem. M. in. Sąd przyjął za prawdziwe wyjaśnienie Wasylewskiego, iż pracował w „Gazecie Lwowskiej” na polecenie organizacji podziemnej.

Nie zamierzając podawać w wątpliwość słuszności sądowego wyroku, nie możemy pominąć milczeniem tych słów, które się wkładły do uzasadnienia wyroku, a zostały sformułowane w sposób dla Związku Zawodowego Literatów krzywdzący i z punktu widzenia normalnego rozgraniczenia kompetencji sądów państwowych od kompetencji władz Związków Zawodowych — nie do przyjęcia. Jesteśmy zmuszeni podkreślić, że podobnie jak naruszenie dyscypliny zawodowej nie jest wystarczającym powodem do pociągania przed sądy państwowe, również wyrok stwierdzający niekaralność kogos z punktu widzenia ustaw karnych nie przesądza, czy została naruszona dyscyplina koleżeńska i obowiązki moralne pisarza.

Zarząd Główny Zw. Zawodowego Literatów Polskich

Redaguje: Zespół „Kuźnicy”. Wydawca: Zespół „Kuźnicy”.
 REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓLKIEWSKI.
 Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
 Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
 CENY OGŁOSZEŃ:
 Kolumna za 50.000; 1/2 kolumny za 30.000; 1/4 kolumny za 15.000; 1/8 kolumny za 8.000; 1/16 kolumny za 5.000. — Drobne ogłoszenia 25 zł za 1 mm na 1 szpalte.
 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, żwirki 2. D-012507